

PRZYPOMINAMY!

W każdy wtorek i czwartek w godz. 15.30 - 17.30 czynna jest telefoniczna poradnia zawodowa „Świata Młodych"

- Nie wiesz jaki wybrać zawód
- Nie znasz warunków przyjęć do szkół ponadpodstawowych
- Nie znasz adresów interesujących Cię szkół

Zadzwoń pod numer: 214-706 (Warszawa)

Nasz redakcyjny psycholog odpowie, doradzi, poinformuje.

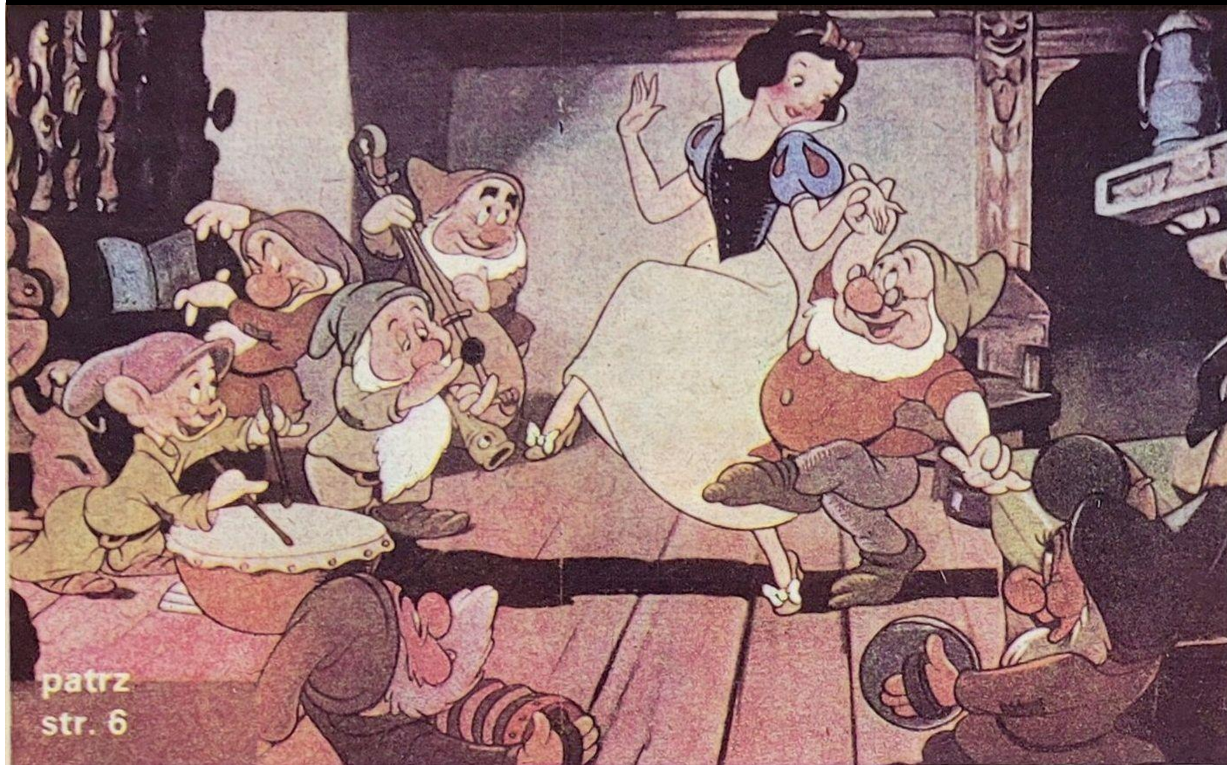
WTOREK
Nr 22 85-02-19 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW



JAK PAN WALT DISNEY ZAKŁADAŁ SWÓJ ŚWIAT



patrz str. 6

Kolekcjoner piasku

Lekarz z Mediolanu (Włochy) kolekcjonuje... piach! W 300 szklanych banieczkach zgromadził on próbki piasku z wielu krajów świata. Zbiera w zasadzie piasek morski, z rzek interesują go jedynie największe. Kolekcja została usystematyzowana według kontynentów, krajów i zbiorników wodnych.

Kolekcjoner twierdzi, że najcenniejszym okazem jego kolekcji jest piasek kubański kurortu Varadero. Dlaczego - my nie wiemy...

Może by tak odwiedzać tę jaskinię...

(PAP). W Szczyrku nieopodal stacji pośredniej wyciągu krzesełkowego na Skrzycznem, w rejonie hali jaworzyny, znajduje się jaskinia zwana „Diabelskim Młynem". Jak głosi legenda, w jaskini przed kilkuset laty skłócony z piekłem diabeł przerabiał ludzi starych na młodych, a złych na... dobrych.

BYĆ SAMORZĄDNYM...



Tak to bywa z korespondencją: jeden pisze, drugi czyta. Potem ten drugi albo odpisuje, albo nie. Jeśli nie – to trudno. Jeśli tak - to albo pisze, bo ma coś do powiedzenia, albo dlatego, że „tak wypada". Kiedy jest to list do gazety - chodzi niekiedy również o czczą sławę, polegającą na tym, że „droga redakcja" zechce być może zamieścić list na swych łamach...

Przez kilka tygodni pisałem do Was malutkie liściki – felietony pt. **„Być samorządnym"** (z podpisem *„Julian Konstanty")*. A teraz mam przed sobą paczkę z Waszymi listami. Przyszły one jako odpowiedzi na redakcyjną echosondę; niektóre zaś są adresowane również wprost do mnie. Cóż począć, trzeba na nie odpisać.

Dokończenie na str. 5

Silnik na wodę

JAPONIA (PAI). W Japonii brakuje źródeł energii, ale za to wody morskiej jest pod dostatkiem. Naukowcy z uniwersytetu w Kobe postanowili skonstruować silnik dla statków oceanicznych, który będzie zasilany wodą. Statek z takim silnikiem nie będzie posiadał ani wału śrubowego, ani śruby. Zastąpi je tunel w korpusie statku, przez który przepuszczać się będzie wodę. Za pomocą elektromagnesu w wodzie wytwarzane będzie pole magnetyczne, odpychające ją w kierunku rufy. W ten sposób powstanie podobno siła napędowa. Według obliczeń konstruktorów, statek o wyporności 10 tys. ton wyposażony w silnik wodny będzie mógł rozwijać prędkość do 10 węzłów, tzn. odległość od Japonii do Ameryki pokona w ciągu trzech dni.

POZNANIACY, odezwijcie się!

W 1977 roku Międzynarodowa Rada Muzyczna pod przewodnictwem skrzypka Yehudi Menuhina ogłosiła 1 października Międzynarodowym Dniem Muzyki. Wówczas to poznańska Pro simfonica zorganizowała wiele koncertów. i rozmaitych imprez muzycznych, a w wielu poznańskich szkołach podobno zastąpiono dzwonki międzylekcyjne fragmentami utworów \muzycznych (nagranymi na taśmie magnetofonowej!).

Czy te niebanalne sygnały jeszcze gdzieś się ostały? Napiszcie, poznaniacy!

A może. ktoś „kupi" tamten pomysł sprzed lat? Bardzo polecamy! **(wk)**

COŚ TU NIE GRA...

(Inf. wł.). Andrzej Kuźmik z Zakopanego-Olczy nie należy do żadnego klubu, ale na skoczni narciarskiej radzi sobie zupełnie dobrze. Widzimy go właśnie w momencie dynamicznego wybijania się z progu skoczni LKS „Poroniec" Poronin. Zmierzyliśmy wynik uzyskany przez Andrzeja −18 m. Jak na jego wiek (14 lat) jest to zupełnie przyzwoity rezultat...

W Poroninie spotkaliśmy jeszcze Krzyśka Króla (kolegę Andrzeja), który powiedział nam, że niemal wszyscy chłopcy z Olczy najbardziej lubią właśnie skoki. Często organizuję sobie przeróżne zawody. Podejrzewamy, że podobne zawody sę ulubionym zajęciem nastolatków także z innych górskich miejscowości. Widzieliśmy wiele maleńkich skoczni, które sami budują na stokach, a następnie biją ich rekordy.

A mówi się, że powodem regresu, jaki przeżywa ta dyscyplina w Polsce, jest brak chętnych do jej uprawiania. Coś tu nie gra. (zp)



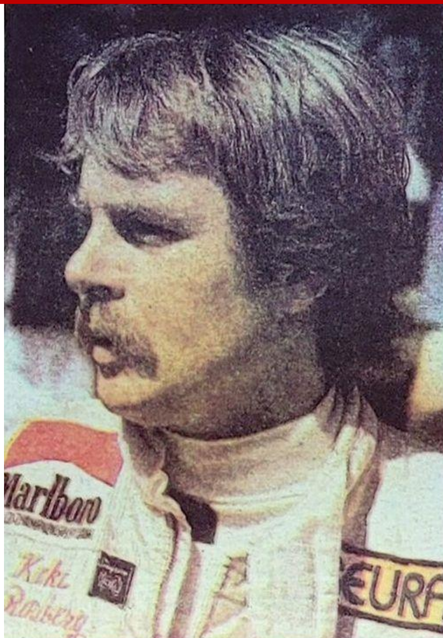
Fot. Z. Przybyłowski

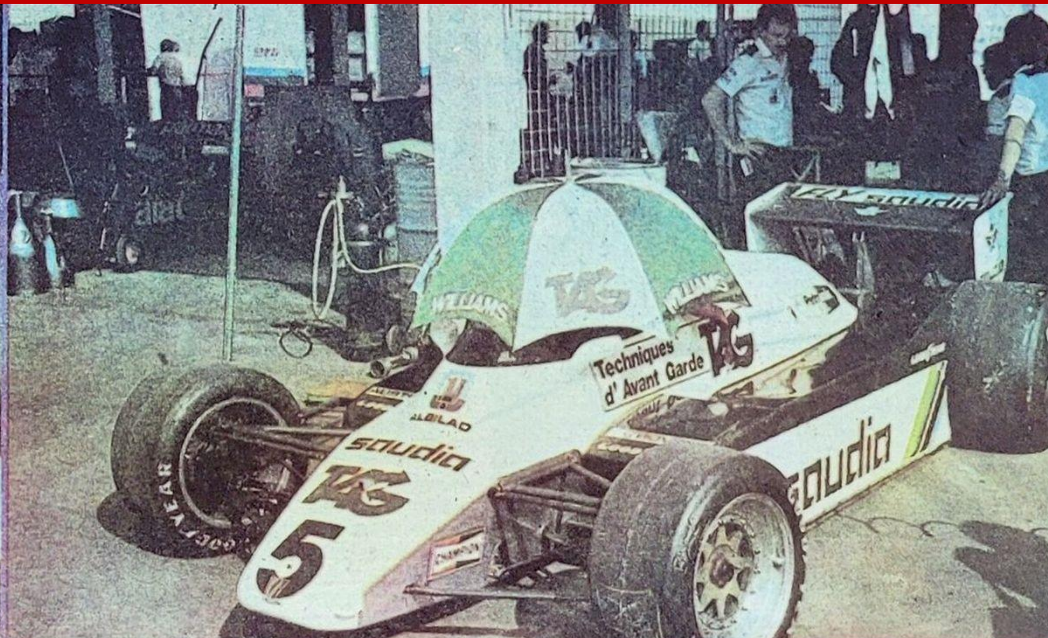
FORMUŁA 1

KEKE ROSBERG (Finlandia)

Motoryzacyjną chorobą zaraził się w ... domu rodzinnym. Ojciec uczestniczył w rajdzie Monte Carlo, matka triumfowała nawet w słynnym „Wyścigu 1000 jezior". 15-letni Keke startował w zawodach kartów i niebawem został mistrzem kraju. W roku 1978 (miał wówczas 30 lat) zadebiutował w F1. Na mokrym od deszczu torze Silverstóne (W. Brytania) wygrał z samym Laudą, Huntem, Andrettim i zajął I miejsce. Jednak po tym rewelacyjnym debiucie o Rosbergu długo nie było słychać. Wprawdzie w roku 1980 plasuje się na dziesiątej pozycji w punktacji ostatecznej, ale bywało i tak, że nie był w stanie zakwalifikować się do poszczególnych GP. Wreszcie nadszedł rok 1982, Fin jeździ jako główny kierowca zespołu „Willlamsa". Można powiedzieć, że był to przeżywny sezon. Niemal w każdym kolejnym wyścigu zwyciężał inny kierowca. Rosberg wygrał tylko Grand Prix Szwajcarii, ale punkty zdobywał

Dokończenie na str. 2







CZEGO POTRZEBA MOJEJ SZKOLE?

Więcej życzliwości

Najbardziej w naszej szkole potrzebna jest zgoda między klasami, której w ogóle nie ma. Czyja wina? Na pewno wyłącznie nas – uczniów. Często słyszy się o sporach dzielących uczniów i pedagogów, u nas tego problemu nie ma.

Aby w szkole była atmosfera naprawdę domowa, potrzebna jest chociaż zgoda, nie mówiąc już o sympatii czy wzajemnej pomocy i zrozumieniu. A u nas jest wręcz przeciwnie. Każdy tylko czeka na potknięcie drugiego, a gdy to zauważy - jest nader szczęśliwy, bo ma o czym rozmawiać. Panuje w szkole przekonanie, że gdyby nie te kłótnie, byłoby bardzo nudno... A więc: kłótnie sposobem na nudę! Jeśli już w szkole podstawowej są w użyciu takie określenia jak szpieg czy wróg, to jak ma nie dojść później do wojny między państwami?

Chciałabym poruszyć jeszcze inną sprawę, a mianowicie czystość. Cóż, nasza szkoła czystością naprawdę nie grzeszy. Uczniowie i niektórzy nauczyciele tłumaczą to tym, że jest tylko jedna pani, która sprząta, a jest etat dla dwóch. Ja jednak uważam, że jeśli będziemy się tak zachowywać, to nawet gdyby było pięć sprzątaczek, nie dałyby one rady utrzymać należytej czystości. A potwierdza to takie wydarzenie: otóż nasza klasa (chodzę do kl. VIII) podjęła się sprzątnąć cały parter. Zaczęliśmy od pracowni, w której ponoć było najbrudniej. Gdy skończyliśmy sprzątanie - klasa naprawdę lśniła. Cóż, niedługo! Kiedy przyszliśmy na drugi dzień i weszliśmy do klasy - byliśmy oburzeni. Pełno było papierów na podłodze i w doniczkach. Na ławkach leżały ogryzki. Co mieliśmy zrobić! Posprzątaliśmy jeszcze raz. Ciekawa jestem, jak się czuli ci, co tak nabałaganili? Poruszaliśmy tę sprawę na apelach, niestety, bez widocznego rezultatu. Uważam, że to jak będziemy się czuć w szkole, zależy wyłącznie od nas samych i naszego postępowania.

A. z Niesułkowa



Co warte jest kucie na pałę?

Muszę przyznać, że czekałem na taki właśnie temat i doczekałem się. Niektórzy może powiedzą, iż do szkoły można się przyzwyczaić. Ja jednak, mimo że do liceum chodzę dopiero od kilku miesięcy, sądzę iż nigdy nie przyzwyczaję się do zapachu panującego w ciemnej, dusznej szatni, do zimna na korytarzach i w klasach; do zaniedbanych (naprawdę mało powiedziane) łazienek, w których wytrzymać wprost więcej niż kilkadziesiąt sekund nie można.

Pytam, jak może istnieć liceum ze stołówką mniejszą od klasy lekcyjnej, bez szatni, w której można by się było przebrać na zajęcia wf. Rozumiem – kłopoty lokalowe, ale coś z tym fantem trzeba zrobić!

Warto wspomnieć jeszcze o naszym gronie pedagogicznym, które nie jest dla nas tym, czym chcielibyśmy, żeby było. Powiem tylko o wkuwaniu na pamięć bez zrozumienia, po prostu kuciu na pałę! Czy to ma sens? Sądzę, iż chyba nie o to nauczycielom powinno chodzić? W ten sposób po trzech miesiącach nie umiemy nic, co wykładano nam np. we wrześniu. A czy po to chodzimy do szkoły?!

„Elais" (16 lat)
Władysławowo

Z sufitu kapie woda

Mieszkam w Ostrowi Maz. i chodzę do szkoły podstawowej w tymże mieście. Jest to dość nowa i nowoczesna szkoła, jednak po każdym deszczu, lub w czasie roztopów na drugim piętrze z sufitu kapie woda i robią się brzydkie zacieki. Na korytarzach woda stoi kałużami pod kaloryferami. Paniom woźnym nie bardzo chce się ją ścierać, chociaż im za to płacą. Pan dyrektor sprowadził hydraulików, którzy trochę pokręcili, coś wymienili i poszli, jednak za dwa dni woda dalej ciekła, a w zimie nie można przecież zakręcić kaloryferów, ponieważ uczniowie musieliby chodzić w kożuchach.

W dużej mierze do złego wyglądu szkoły przyczynili się uczniowie. Zamiast dbać o nią - śmiecą, a nawet plują. Dyżurujący nauczyciele czasem każą zbierać papierki i wrzucać do kosza, a gdy zobaczą, że ktoś śmieci piszą uwagi w specjalnym zeszycie oraz obniżają ocenę ze sprawowania. Jednak niektórzy uczniowie robią na złość i wymyślili oryginalniejszy pomysł niż rzucanie śmieci na podłogę, utworzyli sobie po prostu .śmietnik, wyrzucając niepotrzebne rzeczy przez okna. Co prawda tylko niektóre okna mają niezepsute zamki, te zaś które ich nie mają, zostały pozabijane .gwoździami na stałe. Śmiecić przez nie ani wietrzyć nie można...

Tomek



Czy można być lubianą?

To pytanie zadawałam sobie dosyć często i zawsze dochodziłam do wniosku; że tak. Jeśli więc taka sytuacja może zaistnieć, pojawia się znowu problem: w jaki sposób tego dokonać, aby stać się osobą lubianą w klasie, lecz lubianą nie z przymusu, ale z życzliwości i po koleżeńsku?

Zapewniam, że próbowałam już zawrzeć bliższe stosunki z dziewczętami z klasy. Niestety, widocznie wzięły mnie za intruza, który za wszelką cenę chce się stać punktem centralnym klasy i przez to moja sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła. Doszło do tego, że nawet moja serdeczna przyjaciółka zaczęła postępować niezbyt dobrze w stosunku do mnie. Uważam bowiem, że jako dobra przyjaciółka powinna ciąż mnie pocieszyć, a ona tylko czyhała na okazję, aby „uciec" ode mnie do tamtych dziewcząt. Zdaję sobie sprawę z tego, że ona nie jest moją własnością i że ja także nie jestem bez winy. Nie mogę pojąć dlaczego (jeśli się do nich zbliżę i jeśli wśród nich jest moja „przyjaciółka") zaczynają się szepty i tajemnicze uśmiechy pod moim adresem.

Nie.wiem jak mam postępować i co robić, aby jednak stać się jedną z tych lubianych dziewczyn. Może przeszkodą jest moja nieśmiałość, a także to, że nie umiem się bronić przed zarzutami kolegów i koleżanek. Proszę, doradźcie coś, bo ja już tak dłużej nie mogę, ciągłe tajemnice i te denerwujące szepty są nie na moje nerwy. Poradźcie, co robić!

„Figa"

Nowe koleżanki nie lubią mnie

Chodzę do szóstej klasy i jestem nową uczennicą, ponieważ przenieśliśmy się z Kraśnika do Sosnowca. Od kiedy tu przyjechałam i zaczęłam chodzić do szkoły, mam same kłopoty. Nowe koleżanki nie lubią mnie, sama nie wiem dlaczego? Może coś źle robię? Najczęściej mnie obgadują. Mówią, że ode mnie brzydko pachnie, ale przecież codziennie się myję i czysto się ubieram.

Próbowałam nie zwracać na to uwagi, ale jednak nie mogę tego znieść. Kilka razy nawet zaprosiłam koleżanki na herbatę do domu, lecz to też nic nie pomogło.

Edyta

Bardzo dobrze się uczę i dlatego koledzy mnie nie lubią

Chodzę do klasy VI i jestem wzorowym uczniem, mam nawet odznakę „Wzorowego Ucznia". Przez kolegów nie jestem zbytnio lubiany ze względu na to, że się tak dobrze uczę. Wymyślają mi różne przezwiska, między innymi „wentyl". Jak mnie tak przezywają, to donoszę o tym nauczycielom, ale później dostaję od nich baty. Drodzy czytelnicy, poradźcie mi co mam robić.

Mariusz

OD REDKAKCJI: „Nadawca poszedł do krawca, szyje ubranie na wasze spotkanie", albo – „H_2O zgadnijcie kto", lub – „H_2SO_4 czyje to litery"?

Zgadnijcie, kto pisze takie adresy zwrotne? No, kto? Niektórzy nasi czytelnicy! Wcale nie żartujemy, takie listy - niestety - od czasu do czasu przynosi nam listonosz. Bardzo się wtedy wstydzimy za naszych czytelników, a pan listonosz ogromnie się dziwi.

Jeśli nas choć trochę lubicie podpisujcie się porządnie na listach tak jak większość czytelników. Najpierw więc piszcie imię, potem nazwisko i adres: ulicę, numer domu i mieszkania, kod i miejscowość.

(bs)

Blaski i cienie

Prawie codziennie przed godziną ósmą ogarniam wzrokiem mury LO. Smutne. Wchodzą. Wzdłuż ścian wieszaki, a na nich palta (uwaga: nie zdejmuj butów, bo się ośmieszysz!) Wzdłuż ściany 2 tablice ogłoszeń PCK i SKS, po przeciwnej stronie gazetka Samorządu Szkolnego. Dalej kaflowe piece (ledwo ciepłe), pokój nauczycielski: parę krzeseł, stół, szafki na dzienniki oraz szafki osobiste profesorów, na podłodze nędzna wykładzina. W kącie, za szafką grzałka i szklanki. W całej szkole panuje nieznośny półmrok. Na każdym z korytarzy na parapetach stoją po 2 kwiatki. „Moja" klasa jest jedną z „jaśniejszych", konkurs na najpiękniejsze kwiaty zrobił swoje.

W każdej klasie jest „kącik czystości". ściereczka, wiadro wody (przynosimy ją z dworu - tam z ziemi wystaje taka rurka, z niej cieknie woda, tj. czasami zielona ciecz...) mydło, miednica na drewnianym stojaku i wiaderko na brudną wodę. Stare tablice, zrezygnowane wiszą na zmarszczonych ścianach i czekają na emeryturę. Wysłużona podłoga trzeszczy, brązowa farba schodzi z niej, okna są strasznie nieszczelne i poświęcamy jesienią wiele czasu na zatkanie szpar. Najbardziej ohydnie wygląda kawowa lamperia - farba schodzi płatami, a spod niej, wystają zielone łaty starej lamperii (ciekawe, jaki kolor jest pod owym zielonym?). Sfatygowana, stara mapa wisi na ścianie. Obok drzwi jest szafa oraz biblioteka z czasopismami (w naszej klasie), dalej kosz, „kącik czystości" i piec, od którego w ubiegłym roku odpadały drzwiczki (teraz „staruchy" trzymają się dobrze). Naszej klasy nie możemy zmienić na ładniejszą. Odpryski, podłoga wysłużona i ściany. Fe! - przy tym wszystkim czystość schodzi na drugi plan. Tu trzeba remontu!

Boisko szkolne, skocznia i bieżnie są również zaniedbane. WC mamy na podwórku - okropne! Jest to budynek z wieloma „klitkami" zamykanymi na haczyki itp.

A teraz sprawy jeszcze ważniejsze:

Strasznie się boimy profesorów, a profesorowie nas, tzn. naszej „wiedzy". Na początku roku szkolnego brakowało wielu podręczników, teraz już doszło do „normy".

Do szkoły lubię chodzić, lecz często chce mi się krzyczeć: „Dajcie mojej szkole światła" - lecz nie krzyczę - milczę... Mojej szkole potrzeba rozsądnych ludzi, którzy zmienią naszą egzystencję. Słyszałam, że wszystko idzie ku dobremu, lepszemu może?

Gdyby ode mnie zależał wygląd szkoły, to po pierwsze - elewacja, zasłony, szafy, przebicie dodatkowych okien, lamperie, tynki. W WC powiesiłabym papier toaletowy, gdyż uważam, iż młodzież LO wie, jakie ma on zastosowanie... Oczywiście zbudowałabym szatnię...

Nieraz jest zimno, gdy opuszczamy klasy i idziemy do domu, po 6, 7 lekcjach, termometry wskazują zaledwie +12, 13°C. Węgiel nosimy sami, pomagając paniom sprzątająco-palącym.

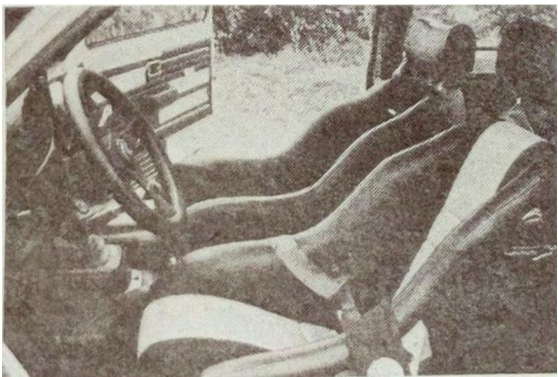
Nasza szkoła ma bogaty zbiór osowojonych myszy. Kilka dni temu, podczas lekcji, jedna z nich chciała nadepnąć mi na duży palec, lecz przechytrzyłam ją. Pomerdała mi tylko ogonkiem. Nie wiem dokładnie, ile ich jest, lecz już ze cztery razy je widziałam. Nie wiem tylko, dlaczego nikt dotąd nie wpadł na pomysł, aby myszkom na ogonkach zawiązać różnokolorowe kokardki i jakoś ponazywać je, bo w końcu spędzamy ze sobą po kilka godzin dziennie, a nawet nie znamy swoich imion.

M.
z LO w Józefowie woj. zamojskie

FORMUŁA 1

Dokończenie ze str. 1

w dziewięciu innych zawodach. Uzbierał ich tyle, że został mistrzem świata. Rok później plasuje się na pozycji piątej. Wierzy, że niebawem powróci na mistrzowski tron. Ma już prawie 37 lat, sporo doświadczenia i nie boi się młodszych rywali. Aby utrzymać się w formie dużo biega, gra w tenisa, żegluje.



CO ZAWDZIĘCZAMY F1?

Sport samochodowy, a zwłaszcza zawody F1, zawsze byj poligonem doświadczalnym dla przemysłu motoryzacyjnego. Rywalizujące w Grand Prix bolidy nie są produkowane seryjnie. Każdy egzemplarz, nawet z tej samej firmy, jest inny. Różni się od pozostałych czasami tylko drobnyńi elementami podzespołów lub całymi podzespołami. Można powiedzieć, że bolid ma przeznaczenie podwójne: jako pojazd wyścigowy oraz jako laboratorium do sprawdzania zainstalowanych części.

Nie ulega wątpliwości, że każde udane rozwiązanie techniczne znajduje później szersze zastosowanie – w zwykłach autach. W ten sposób normalne samochody przejęły najpierw z F1 hamulce tarczowe. Mało kto o tym wie, że testowano je w wyścigach Grand Prix w latach 1953-54. Spoglądając na zamontowane w „maluchach" pasy bezpieczeństwa nie zastanawiamy się nad ich rodowodem. A wywodzą się one z F1. Identyczne miejsce narodzin mają tzw. kubełkowe fotele (patrz zdjęcie) oraz zagłówki. Dotyczy to również opon promieniowych, lepiej trzymających auto w momentach dla niego krytycznych. Ostatnio w bolidach stosuje się coraz częściej laminat, włókno szklane oraz włókno węglowe. Lekkie, bardziej wytrzymałe, znajdą wkrótce zastosowanie i w popularnych samochodach.

Nowinki techniczne, które przenosi się z F 1 do zwykłych aut obejmują i budowę silnika. Konstruktorzy wciąż dążą do tego, aby zwiększyć jego wydajność i jednocześnie ograniczyć benzynowy apetyt maszyny. W myśl zasady - szybciej, ale oszczędniej. Ma to ogromne znaczenie zwłaszcza dziś, w dobie paliwowego kryzysu.

Wyścigi Grand Prix są kosztowne. Ostatecznie milliony zainwestowanych w nie dolarów zwrócą z nawiązką nabywcy milionów normalnych aut. Lecz najważniejsze jest to, że ich użytkownicy mogą się czuć w maszynach bezpiecznie.

DOTYCHCZASOWI MISTRZOWIE ŚWIATA

1950 - Farina (Włochy), firma „Alfa-Romeo"; 1951 - Fangio (Argentyna), ,,Alfa-Romeo"; 1952-53 - Ascari (Włochy), „Ferrari"; 1954-57 - Fangio (Argentyna), „Mercedes", „Lancia" i „Ferrari"; 1958 - Hawthorn (W. Brytania), „Ferrari"; 1959-80 - Brabham (Australia), „Cooper Climax"; 1961 - P. Hill (USA), „Ferrari"; 1962 -G. Hill (W. Brytania), „BRM"; 1963 - Clark (W. Brytania), „Lotus Climax"; 1964 - Surtees (W. Brytania), „Ferrari"; 1965 - Clark (W. Brytania), „Lotus Climax"; 1966-Brabham (Australia), „Brabham Repeo"; 1967-Hulm (N. Zelandia), „Brabham Repco"; 1968 - Hill (W. Brytania), „Lotus Ford"; 1969 - Stewart (W. Brytania), „Matra Ford"; 1970 - Rindt (Austria), „Lotus Ford"; 1971 - Stewart (W. Brytania), „Tyrrel Ford"; 1972- Fittipaldi (Brazylia), „Lotus Ford"; 1973 - Stewart (W. Brytania), „Tyrrell Ford"; 1974 - Fittipaldi (Brazylia), „McLaren Ford"; 1975 - Lauda (Austria), „Ferrari"; 1976 - Hunt (W. Brytania), „McLaren Ford"; 1977 - Lauda (Austria), „Ferrari"; 1978 - Andretti (USA), „Lotus Ford"; 1979 - Scheckter (RPA), „Ferrari"; 1980 - Jones (Australia), „Williams"; 1981 - Piquet (Brazylia), „Brabham"; 1982 - Rosberg (Finlandia), „Williams"; 1983 - Piquet (Brazylia) ..Brabham-BMW"; 1984 - Lauda (Austria), „Porsche-McLaren"; 1985 - ? Od roku 1958, równolegle z klasyfikacja kierowców prowadzi się klasyfikację konstruktorów F 1. Najwięcej sukcesów w ostatnim dziesięcioleciu odniosła firma „Ferrari", która triumfowała aż 6 razy.

MARZYĆ– NA WŁASNY RACHUNEK

Przypomniała mi się stara jak świat bajka o Kopciuszku, śliczna i dobra sierotka, okrutnie maltretowana przez macochę i jej wredne córy, o niczym innym nie marzy, tylko żeby wszystkim pomagać, dla wszystkich być dobrą. Aż tu los stawia na jej drodze królewicza pięknego jak marzenie. On zakochuje się w niej, bierze ją za żonę, żyję długo i szczęśliwie... Tak to bywa w bajkach: dobro procentuje dobrem, zło bywa ukarane.

Niedawno przeczytałam inną bajkę. Napisano ją - tak los zrządził - specjalnie dla mnie. Ona: 14-letnia Aśka. Mieszka z rodzicami i z dwoma braćmi — bliźniakami (9 lat) w dużym mieście. Chodzi do szkoły, uczy się nieźle. W przyjemnym trzypokojowym mieszkaniu ma własny pokój. Rodzice oboje pracują: ciężko byłoby ubrać, nakarmić i wykształcić trójkę dzieci z jednej pensji. Aśka żyje w tej szarej codzienności szkoły i domu, ale...

„Błagam, redakcjo, pomóżcie! Moja matka mnie nienawidzi. Bije mnie czym popadnie bez powodu. Nie chce ze mną w ogóle rozmawiać, co dopiero o moich sprawach. Nic mi nie kupuje. Nie mogę nawet pojechać na zimowisko, bo nie chce mnie puścić. Co tylko zrobię, ją drażni. Nie wolno mi poprosić nawet o to, żeby odwiedzić babcię, która mnie kocha, a ja ją. Mój tata nie żyje. Mama kocha tylko moją młodszą siostrę. Dla niej ma czas i cierpliwość. Rozumiem, że dla małego dziecka trzeba mieć więcej czasu, ale moja siostra robi się od tego niedobra. Skarży się na mnie, wciąż kłamie, że ją biję itp. Mama oczywiście wierzy jej, i ją ciągle obrywam. Nie wolno mi oglądać telewizji - za karę. Wszystkie moje koleżanki mamie się nie podobają - nie wolno mi ich mieć. Mam tylko się uczyć, żeby szybko skończyć szkołę. Od tego ciągłego gadania jaka jestem niedobra, odechciewa mi się żyć. Nienawidzę czasem Milusi, mamy i siebie! Błagam, pomóżcie mi! Chociaż wydrukujcie mój list, żeby ktoś do mnie napisał. Niech czytelnicy mi coś poradzą, może choć z kimś się zaprzyjaźnię?"

Każdy taki rozpaczliwy list wywołuje w redakcji poruszenie, Zaraz pojechałam do Poznania, gdzie mieszka Aśka. Późnym popołudniem, zmęczona i zdenerwowana, dotarłam pod adres podany w liście. Drzwi otworzyła mi blondyneczka w getrach i ogromnym swetrze. Za nią pani podobna jak dwie krople wody - mama. Zrobiło mi się niewyraźnie: nie tak wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Wybąkałam, że jestem ze „Świata Młodych", że mamy taki miły zwyczaj odwiedzać czasem swoich czytelników... Czerwona jak burak twarz Aśki nie pozostawiała wątpliwości, że moja wizyta jest dla niej nieprzyjemnym zaskoczeniem. Teraz marzyła o tym, żeby trwała jak najkrócej. Ja zresztą też! Gdy zadzwonił dzwonek, zanim w drzwiach stanął tata Aśki, wiedziałam już co będzie. Jezu Chryste - pomyślałam nerwowo - jego nawet uśmierciła!

Jesteście może ciekawi, co zrobiłam? Nic! Nie mogłam przecież pokazać rodzicom listu ich rodzonej córki! Nie miałam też wcale chęci na wyciągnięcie pod jakimś pretekstem dziewczyny na rozmowę. Może sam fakt, że zmyślony list wywołał reakcję i działanie będzie dla niej dostateczną nauką. Może jest jej głupio, że ktoś tłukł się kawał drogi na fałszywy alarm, zamiast jechać tam, gdzie naprawdę pomoc była potrzebna. A może kilka minut strachu i wstydu, że zaraz, za chwilę, treść jej bezmyślnego listu poznają rodzice - kochający i kochani - których nie chciała przecież ani oskarżać, ani zranić, będzie lekcją - na całe życie - odpowiedzialności i konsekwencji własnych nieprzemyślanych działań?

Pomarzyć - dobra rzecz. Czasem marzy się o rzeczach niezwykłych: lotach w kosmos, podróżach do egzotycznych krajów. Czasem banalniej: o urodzie, popularności i karierze gwiazdy - aktorki, piosenkarki. Bywa i tak, że wystarczy przenieść się w wyobraźni w najbardziej nawet ponurą, ale - inność. Drastyczne przykłady podsuwa co dzień prasa, telewizja, radio. Czasem w szkole na lekcji wychowawczej, mówi się o koleżance, która ma rodziców - alkoholików, że jest nieszczęśliwa, że trzeba jej pomóc. Wystarczy bujna wyobraźnia, nastrój - i to już ja - biedna, maltretowana samotna, godna zainteresowania i współczucia. Fantazja miesza się wtedy z rzeczywistością. Czasem — pisze się w takiej chwili smutny list: *„Kochana redakcjo, pomóż..."*

KRYSTYNA KLIMOWICZ

NASZ SPECJALNY WYSŁANNIK ROZSZYFROWUJE

Nie tylko dla przyszłych pilotów

TAJEMNICE SYSTEMU PZL-130

Biuro Konstrukcyjne w wytwórni samolotów lekkich PZL-Okęcie w Warszawie mieści się na ostatnim piętrze. Ale widok stąd na całe lotnisko wspaniały, a drżenie szyb sygnalizuje kolejne przeloty, starty i lądowania samolotów z pobliskiego portu lotniczego PLL LOT. Wasz wysłannik umówił się tu z głównym konstruktorem biura **mgr. inż. Andrzejem Frydrychewiczem**, aby porozmawiać o najnowszym polskim samolocie i o jeszcze kilku sprawach.

— Panie inżynierze, niegdyś mówiono mi, że dobry samolot, to taki co ma trzy kółka...

— Dobrze panu mówiono! Ja bym jeszcze dodał:... i taki co ma choć dwa skrzydła. Nasz PZL-130 zwany Orlikiem — wszystko to ma. Ale czy jest dobrym samolotem, to się dopiero okaże. Bowiem nikt na świecie nie może zbudować od razu idealnego samolotu, tym bardziej prototypu.

- Ma pan już za sobą sławę konstruktora, którego samoloty dobrze latają i dobrze się sprzedają: w kraju i za granicą. Po co wziął Pan sobie na głowę kłopot, jakim jest rozpoczynanie pracy nad zupełnie nowym samolotem?

- Ma pan rację, kłopot jest to zawsze ogromny, ale świadomość„że robi się coś potrzebnego, że tworzy się coś nowego, wykorzystując nowe dziedziny nauki i techniki, że jest się po prostu użytecznym - daje ogromną satysfakcję całej wytwórni i mnie osobiście. Bo wszyscy ci, co projektują i budują samoloty, są ludźmi szalonymi, zakochanymi w swej pracy, w lotnictwie - bez reszty. Więc poszukujemy coraz to lepszych rozwiązań, wydajniejszych metod pracy, tańszych materiałów, aby to co budujemy było coraz doskonalsze - i ma pan rację - aby się dobrze sprzedawało...

- Produkujecie tutaj szkolno-treningowego Kolibra, rolniczego Kruka, wielozadaniową Wilgę, a teraz dojdzie jeszcze Orlik. Pańskie nazwisko związane jest z wieloma samolotami. Ile ich pan zbudował?

*- Zaczynałem w 1959 r. zaraz po studiach na Politechnice Warszawskiej (Wydział Lotniczy) właśnie tutaj, na Okęciu. Rozpocząłem pracę przy samolocie **MD-12**, w zespole prof. Franciszka Misztala. Nie była to praca, która mogła świeżo upieczonego inżyniera zachwycać. Nie ukrywam, że rozpoczynałem od projektu... instalacji sanitarnej samolotu: Później uczestniczyłem w pracach nad nową **Wilgą**, która powstała w zespole mgr. inż. Bronisława Żurakowskiego. Mamy dziś dużą satysfakcję, bo przecież zbudowaliśmy dotąd ponad 800 sztuk Wilg i wiele z nich lata z powodzeniem pod różnymi szerokościami geograficznymi. Potem projektowałem samolot rolniczy, następcę An-2. Miał to być **M-14**, budowany wspólnie z PZL-Mielec, ale pracy nie doprowadzono do końca. Zajmowałem się też przystosowaniem napędu odrzutowego do samolotu rolniczego oraz projektowałem, specjalnie dla Aeroklubu PRL, samolot akrobacyjny **Harnaś**. Znów trochę pechowo, bo projekt nie został zrealizowany. Później powstał rolniczy **Kruk** - a dokładniej - **cała rodzina Kruków**. Od takich, co zabierać mogły do zbiorników 700 kg ładunku, aż po najnowszego, który dźwiga 1300kg np. środków owadobójczych. No, a teraz chciałbym realizować Orlika, którego prototyp mamy już za sobą. Zbudowaliśmy trzy egzemplarze tego samolotu: do badań na ziemi i w powietrzu, do prób wytrzymałościowych i innych oraz makietę, rodzaj modelu, na którym projektuje się właściwe rozmieszczenie podzespołów, przyrządów itp. Prace nad projektem wstępnym zaczęły się w 1981 roku, a oblot prototypu nastąpił już jesienią 1984 roku...*

Prototyp Orlika w locie. Uwagę zwraca bardzo staranne opracowanie aerodynamiczne i piękna sylwetka płatowca

SAMOLOT PZL-130 ORLIK

Dane techniczne:

Rozpiętość skrzydeł	**8 m**
Długość	**8,45 m**
Masa własna	**950 kg**
Masa startowa (wraz z załogą i paliwem)	**1300-1500 kg**
Osiągi (obliczeniowe)	
Prędkość maksymalna	**- 380 km/h**
Prędkość przelotowa	**- 330 km/h**
Pułap praktyczny	**- 7000m**
Zasięg	**- 1 460 km**
Rozbieg – przy starcie	**- 300 m**
Dobieg – przy lądowaniu	**- 240 m**
Silnik o mocy	**- 220 kW**

Tak wyglądają kabiny Orlika. Z przodu kabina ucznia z tyłu – kabina instruktora. Wyposażenie - łącznie z fotelami - przypomina wnętrze samolotu odrzutowego

Makieta Orlika w barwach ochronnych. Przykład zastosowania samolotu do szkolenia pilotów wojskowych.

- Czy taki właśnie samolot ktoś zamówił w waszej wytwórni?

- Zrobiliśmy go na własne ryzyko, podobnie zresztą jak i poprzedniego Kruka. Po prostu staramy się rozpoznawać dokładnie sytuację i - jeśli tak można powiedzieć - „modę" na określone samoloty. Jeżeli są potrzebne takie to a takie maszyny, o określonych charakterystykach - zabieramy się do roboty. Tak zresztą robią wszystkie wytwórnie na. świecie...

- Dla kogo przeznaczony jest Orlik?

- No więc muszę wyjaśnić, że Orlik to system. System szkolenia pilotów zawodowych, w tym także wojskowych...

- Zapachniało tajemnicą wojskową...

- Nie ma obawy. Informuję po prostu tych czytelników „Świata Młodych", którzy przymierzają się do zawodu pilota, na jakich samolotach w przyszłości będą latać, jak również z jakimi systemami mieć będą do czynienia.

- Wybiegnijmy więc myślą nieco w przód...

- SYSTEM PZL-130 umożliwia cykl taniego, bezpiecznego i na wysokim poziomie szkolenia wszystkich tych, którzy poświęcają się lotnictwu zawodowo. W skład tego systemu wchodzą - Samolot Orlik PZL-130 (w różnych wersjach); naziemny symulator lotu (często nazywany po polsku naśladownikiem); system kierowania procesem wyszkolenia, urządzenie diagnostyczne, kontrolno-sprawdzające...

- A więc kandydat na przykład na pilota wojskowego siada od razu za sterami pańskiego Orlika, korzysta ze wszystkich systemów, które Pan wymienił i — po pewnym czasie z kabiny wychodzi wspaniały lotnik...?

- Można naturalnie rozpocząć szkolenie wstępne od Orlika. Ale my przewidujemy szkolenie podstawowe na np. Kolibrze, następnie na Orliku, potem na samolocie odrzutowym Iskra (lub podobnego typu), a w końcu - przejście na odrzutowy samolot bojowy najwyższej klasy lub na inne typy samolotów stosowanych w cywilnym lotnictwie zawodowym. W cyklu szkolenia - w przyszłości — samolot szkolny z napędem odrzutowym byłby właściwie zbędny. Bowiem SYSTEM PZL-130 polega, mówiąc najkrócej, na zapoznaniu pilota z właściwościami samolotu odrzutowego - mimo iż Orlik jest napędzany silnikiem tłokowym i ma śmigło! W ten sposób cykl szkolenia będzie o wiele tańszy. O kosztach paliwa dla samolotów odrzutowych nie mówię, bo wiadomo jak paliwożerne są ich silniki. Orlik zatem ma wszystkie nieomal cechy samolotu odrzutowego, łącznie z wyposażeniem kabiny! Jego system współpracuje z systemem samolotu odrzutowego Iskra, produkowanego przez nasz przemysł dla szkolenia pilotów wojskowych. Jeśli Iskra zostanie zastąpiona w przyszłości nowszym samolotem, będzie można Orlika przystosować szybko do innego systemu. Tak więc system nasz, jak przewidujemy, będzie dość długo skuteczny, przez co najmniej 10 lat nie powinien się zestarzeć...

- Tak wyspecjalizowany samolot musiał chyba powstawać w co najmniej profesorskim zespole?

*- Wszystko zrobiliśmy własnymi siłami. Mamy jednego profesora, głównego konsultanta. Jest nim **prof. Tadeusz Sołtyk**, znakomity konstruktor, twórca samolotu TS-11 Iskra, produkowanego przez nasz przemysł **magistrowie inżynierowie: Tomasz Wolf** (kontuktor prowadzący), **Kazimierz Dąbrowski, Tomasz** Makowski, **Jacek** Kończak, **Anatol Kossowski, Wojciech Międlar i Stanisław Malewski.***

- Od siebie tylko jeszcze dodam, że SZEF chodzi na co dzień w sportowym swetrze i jest w zespole najstarszy (lekko po pięćdziesiątce), a reszta to ludzie bardzo młodzi. Średnia wieku tych, którzy pracowali nad projektem i konstrukcją SYSTEMU PZL-130 nie przekracza 30 lat. Może w tym fakcie kryje się jego największa tajemnica...

Rozmawiał:
PAWEŁ ELSZTEIN

Zdjęcia: **Jerzy Stanisławski**

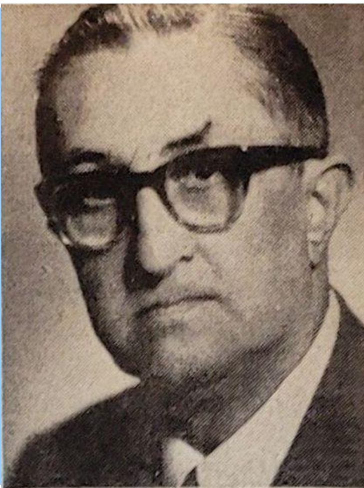
Nieuchronność przemijania, rozważania o nieśmiertelności, narodziny, życie i śmierć – to nie kwestie zbyt chętnie poruszane na co dzień. A przecież od początku istnienia człowieka wokół nich krąży bez przerwy myśl ludzka. Pytania o to kim jesteśmy, dokąd dążymy, czym skończy się nasza wędrówka – zadaje sobie każdy myślący człowiek, niekoniecznie dzieląc się swymi przemyśleniami z otoczeniem. Sprawa zresztą tym bardziej czasami staje się drażliwa, iż w sposób niejako naturalny łączy się z wiarą, z przynależnością religijną czy wyznawaną filozofią.

Jednak niezależnie od tego wszystkiego, przemijanie stanowi również temat zainteresowań uczonych. Dziś o sprawach, które często i z pewnym lękiem nazywamy ostatecznymi mówi przedstawiciel nauki, może najbardziej z nimi związanej – medycyny. Posłuchajcie więc co o życiu, śmierci, przemijaniu i nieśmiertelności mówi mądry, wiele rozumiejący, stary lekarz...

(jd)

Profesor dr hab. Tadeusz Kielanowski mieszka na 10 piętrze jednego z wieżowców w Gdańsku-Wrzeszczu. Całe życie poświęcił pracy naukowej i ratowaniu oraz przynoszeniu ulgi chorym. Od 1976 roku jest na emeryturze. Podeszły wiek i postępująca choroba utrudniają mu wychodzenie z domu.

Urodził się w 1906 roku. Studiował prawo i nauki polityczne w Paryżu, odbył studia medyczne we Lwowie. Jest współzałożycielem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie i Akademii Medycznej w Białymstoku. Przez prawie dwadzieścia lat kierował Kliniką Chorób Płuc AM w Gdańsku. Jest członkiem zwyczajnym i honorowym wielu polskich i zagranicznych towarzystw naukowych, członkiem korespondentem i laureatem Francuskiej Akademii Nauk Medycznych, doktorem honoris causa Akademii Medycznej w Białymstoku i w Lublinie.



Czas przemijania (1)

Z prof. dr. hab. TADEUSZEM KIELANOWSKIM rozmawia Sławomir W. Malinowski

— **W swej książce - która doczekała się już wielu wydań, mówię o *„Rozmyślaniach o przemijaniu"*, napisał pan, panie profesorze, że wszyscy wiemy, iż jesteśmy śmiertelni ale nie bardzo wierzymy w to. Doświadczenie bowiem uczy nas, że wciąż umierają ludzie starzy i młodzi, a nawet niemowlęta, nagle lub po długiej chorobie, ale my sami pozostajemy przy życiu. Wielu z nas wierzy natomiast, lub chce wierzyć, że śmierć jest czymś w rodzaju aktu przejścia z życia doczesnego, pełnego kłopotów, trosk i łez, do wiecznego - niebiańskiego pełnego radości i szczęścia...**

— Kwestia wiary lub niewiary jest sprawę osobistą każdego człowieka, więc nie mnie wyrokować o innych. Ja sam jestem niewierzący i wiem że umrę cały. Nauka już dawno stwierdziła, iż śmierć mózgu jest śmiercią człowieka. Przy czym mówię o śmierci całego mózgu, a więc nie tylko tych części, w których lokalizuje się życie psychiczne, ale także tych, które stanowią ośrodki regulujące podstawowe procesy wegetatywne, takie jak oddychanie, rytm akcji serca, trawienie itd. Ale ma pan rację, wielu ludzi wierzy, iż po śmierci będą żyli wiecznie. Taka wiara manifestuje się czasami w dość niecodziennej formie...

Bardzo sławna - w ujemnym tego słowa znaczeniu - jest szwajcarska lekarka Elżbieta Kubler-Ross. Między innymi zarzuca się jej, że dwustu swoim pacjentom powiedziała wprost, iż stan ich jest beznadziejny i wkrótce umrą. Nie muszę chyba podkreślać, że postępowanie takie jest sprzeczne z wszelkimi kanonami etyki lekarskiej, bowiem każdy człowiek noszący znak Eskulapa, powinien czasem wyleczyć, często pomóc, ale zawsze pocieszyć. Lecz powracając do pani Kubler-Ross... Otóż, kiedyś wyczytałem, że jakiś oszust w Ameryce ogłaszał w przeróżnych pismach swoje usługi w wywoływaniu duchów ludzi zmarłych, podkreślając zarazem, iż potrafi sprawić by rozmawiały z żyjącymi bliskimi. Korzystały z nich przede wszystkim wdowy, chcące zamienić ze swoimi zmarłymi mężami choć kilka słów. Ludzie wszędzie są łatwowierni, więc interes kwitł. Oczywiście każdy seans kosztował, i to sporo. Za jeszcze większe pieniądze wdowa mogła w ciemnym pokoju odbyć stosunek miłosny z nieżyjącym małżonkiem. I proszę sobie wyobrazić, że pani Kübler-Ross to wszystko publicznie poparła! Współpracowała z tym oszustem, robiła mu reklamę. Skończyło się na tym, że trzy klientki zachorowały wenerycznie. Wybuchł skandal, sprawa trafiła do sądu.

— **Nie pierwszy i nie ostatni to przykład ludzkiej naiwności. Zdarzają się jednak przypadki, w których wbrew logice i nauce, skłonni są wierzyć nawet ludzie wykształceni. Ot, chociażby te, opisane w „Life after life" - „Życie po życiu" - książce, której autorem jest Raymond Moody.**

— W książce tej, pisanej nie przez lekarza, bo Moody nim nie jest, zebrano przypadki przeżyć ludzi, którzy zostali reanimowani, a nie jak się powszechnie sądzi, żyli po śmierci. Bo gdyby byli martwi naprawdę, to w ich przypadku reanimację trzeba by nazwać wskrzeszeniem, a jak wiadomo czynić tego nie potrafimy. Umiemy jedynie pobudzać funkcje życiowe, ale tylko wówczas, gdy życie jeszcze trwa. Chory przestaje samodzielnie oddychać, nie słyszy, nie widzi, nie reaguje, ale za pomocą odpowiednich środków można go jeszcze utrzymać przy życiu nawet przez dłuższy czas. Niektórzy z rozmówców Moody'ego pragną ludziom wmówić, że ich wspomnienia — np. jaskrawe, ale przyjemne światło - pochodzą z zaświatów. Nic bardziej mylnego! Powtarzam raz jeszcze, człowieka zmarłego nie można reanimować. Zjawisko śmierci komórek mózgowych i wszystkich pozostałych, jest zawsze nieodwracalne.

— **Zdaje pan sobie sprawę, że tym samym występuje pan przeciwko dogmatom głoszonym przez Kościół?**

— Być może, ale nie mam podstaw, abym w nie wierzył. Życie psychiczne jest funkcją mózgu i nie ma życia psychicznego bez niego. Nie wykluczone, że może istnieć jakaś świadomość komórkowa, a nawet atomowa. Już przed wiekami filozofowie greccy twierdzili, że cechą materii, a nawet jej najmniejszego fragmentu jest waga, ciepło i świadomość. Być może również tli się ona jakiś czas po zaprzestaniu pracy przez centralny układ nerwowy człowieka. Ale nie oznacza to wcale, że istnieje drugie, pełne szczęśliwości życie, które nawet w religii katolickiej zostało tak bardzo słabo opisane...

— **Niezbyt optymistyczna to dla nas perspektywa: rodzimy się, żyjemy, umieramy i pozostają po nas tylko wspomnienia w pamięci bliskich. I zapewne dlatego różnymi sposobami staramy się, by ta pamięć o nas była wieczna...**

— To prawda. Już starożytni Egipcjanie budowali dla swoich faraonów gigantyczne piramidy, by zapewnić im spokój w państwie Ozyrysa. Obecnie co bogatsi tego świata czynią podobnie. Na wielu cmentarzach, w tym i polskich, jest mnóstwo budowli ze szlachetnych marmurów i innych trwałych a kosztownych kamieni. Innym sposobem zapewnienia sobie swoistej nieśmiertelności jest pisanie pamiętników. Większość tych, którzy je tworzą, opisują swoje dzieciństwo, młodość, dokonania. Przecież sztambuchy to również nic innego, jak pomniki, tylko że z papieru. Klasycznym przykładem pomnika postawionego samemu sobie, a bardzo udanego, mogą być pamiętniki Cycerona, zawierające jego znakomite mowy sądowe. To są tzw. nieśmiertelności kulturalne, o które w przypadku pozytywnym warto walczyć. W ten sposób nieśmiertelnymi stali się Albert Einstein, Leondrdo da Vinci i Kopernik. Znane są jednak i przypadki wręcz przeciwne. Oto nie znając innego sposobu pozyskania nieśmiertelnej sławy, w 356 roku p.n.e. Grek Herostrates podpalił piękną świątynię Artemidy w Efezie. Skazano go na śmierć i zapomnienie, zabraniając historykom wspominania o nim. A jednak jego imię przetrwało do dziś w znanym na całym świecie określeniu „sława herostratowa". Niestety w podobny sposób pozyskał nieśmiertelność i Adolf Hitler...

(dokończenie w następnym numerze)

OD REDAKCJI: W drugiej części wywiadu prof. Kielanowski przedstawi swoją opinię na temat głośnego od pewnego czasu problemu zamrażania ludzi nieuleczalnie chorych oraz opowie o konsekwencjach grożących naszemu gatunkowi w przypadku osiągnięcia przez nas nieśmiertelności, której specyficzna forma nie jest taką rzadkością w przyrodzie, jak nam się wydaje...

LASKARKI

Tekst i zdjęcia: ZBIGNIEW BISANZ

Rzadko mamy możliwość oglądania hokeja na trawie, szczególnie w wykonaniu pań, i to w wydaniu halowym. Gra toczy się na boisku do piłki ręcznej. Boisko ograniczone jest niewysoką bandą około 10–12 cm. Drużyny liczą po 5 osób i rozgrywają dwie tercje po 20 minut.

Zdjęcia zostały wykonane podczas międzynarodowego turnieju, zorganizowanego z okazji 40-lecia PRL w Siemianowicach Śląskich.







BYĆ SAMORZĄDNYM...

Dokończenie ze str. 1

Choć przyznam się, że na niektóre trudno odpisać. Na przykład przepisał ktoś wszystkie pytania z echosondy i na każde odpowiedział: „tak!"... I nic więcej.

A chciałoby się trochę pokłócić, trochę poszydzić, ale co mam napisać o takim „samorządnym", który umie tylko przytakiwać? Odłożyłem więc na bok tę dosyć zerową porcję korespondencji, bo nie mamy sobie nic do powiedzenia. Tak to przynajmniej wygląda.

A co znalazłem w pozostałych kopertach?



TAK JEST DOBRZE, ŻE AŻ STRACH!

Przyznaję, że ilekroć myślę o samorządowej rzeczywistości w szkołach – jestem sceptykiem (z pewną domieszką optymizmu). Nie to, żebym nie wierzył w sens i możliwości, ale nie wierzę w tzw. „świetlane obrazy". Chciałbym, żeby to była prawda, że są szkoły i klasy, gdzie działają prawdziwie samorządne samorządy. Wiem, że są uczniowie, którym praca w takich samorządach sprawiałaby radość, a ich koledzy mieliby poczucie, że są godnie Skutecznie reprezentowani.

Myślę też, że w różnych szkołach jest różnie, to znaczy - że są też samorządy prawie dobre, a w każdym razie takie, o których warto mówić głośno i szeroko, bo mogą być wzorem i przykładem, że „jednak można". Ale przecież i w tych szkołach nie wszyscy chyba czują się samorządni? Nie uwierzę, że wszystko idzie tak gładko, bez sęków – jak to piszecie do nas w niektórych listach. Hasło naszej echosondy brzmiało: „Samorząd, jaki jest, każdy widzi". **WIDZI**, a nie: zdaje mu się lub chciałby, żeby...

Jestem więc sceptykiem, ale moja domieszka optymizmu polega na tym, że mimo wszystko przyjmuję z dobrą wiarą i nadzieją, że jest gdzieniegdzie tak:

„...Otóż uważamy, że nasi reprezentanci wypełniają właściwie swoje zadania, są bardzo zaangażowani i odpowiedzialni. Różne decyzje, które podejmujemy, są akceptowane przez ogół młodzieży. Wydaje nam się, że znaleźliśmy wspólny język z opiekunami, którzy czuwają nad tym, aby nasze decyzje były na właściwym poziomie. U nas nie widać członków samorządu, którzy byliby elitą czy siłą roboczą, wszyscy wypełniamy swoje zadania według zainteresowań i zamiłowań, funkcji. Z całą odpowiedzialnością stwierdzamy, że nasz samorząd nie jest fikcją. Systematyczna praca jest widoczna na terenie klas, szkoły oraz poza nią..."

(Fragment listu ze Szkoły Podstawowej nr 4 z Wrocławia, podpisanego przez cały zarząd samorządu i opiekunkę).

Mam też nadzieję, że w niektórych szkołach jest tak:

„...W społeczności szkolnej widzę siebie jako osobę chwaloną, spełniającą wszystkie obowiązki. Uważam się za człowieka samorządnego, oznacza to według mnie, że mogłabym rządzić i mogłabym doprowadzić do porządku wszystko zaniedbywane (oczywiście z pomocą kolegów). Swoich reprezentantów uważam za godnych tej nazwy. Próbowałam rozliczyć swoich reprezentantów i wyszło to bardzo dobrze. Do tej pory dokonali dużo rzeczy, np. pomagają mi lub ja im, gdy mamy jakieś kłopoty, służą dobrą radą itp. (...)"

(Fragment listu Marioli z Nowogardu)

„...Bardzo ważną rolę-odgrywa przewodniczący klasy, który jest odpowiedzialny za spokój i porządek. W naszej szkole nie ma tego, że jakiś przewodniczący mówi: »co mnie to obchodzi, że oni się nie ustawiają«.

Oni naprawdę chcą, żeby było lepiej, nawet sami podsuwają pomysły, jakby ulepszyć nasze zachowanie. (...) Chciałabym, żeby było wszędzie tak dobrze, jak u nas jest".

(Z listu Kamili z Szamotuł)

W sumie - kilkanaście listów o takiej czy podobnej treści. Jeśli to prawda, że w życiu ideałów w ZASADZIE nie ma, a tu jednak mamy kilkanaście idealnych samorządów, to radość z tego odkrycia trwałaby długo i nie byłaby niczym zmącona, gdyby nie pewne inne sygnały korespondentów.

VETO, WASZMOŚCIOWIE!

Można się więc szczerze chwalić, jeśli jest czym; można się też z całego serca nie zgadzać (jeśli jest z czym lub z kim). Mam kupkę listów dość zawadiackich, których Autorzy mają za złe mnie, Redakcji, nauczycielom, swoim kolegom i tak dalej. Co mają za złe? Różne rzeczy. Przede wszystkim zaś to, że IM się ta cała samorządność w szkole nie bardzo jakoś chce kleić. Kto jest temu winien? W niektórych listach pokazuje się winnego palcem:

„...mamy również kłopoty z naszym samorządem klasowym. Przewodniczącym klasy jest chłopak, który nie zważa na nasze prośby o pomoc w nauce i o zorganizowanie jakiejś dyskoteki lub coś w tym rodzaju. Więc przysłowiowo »rozkłada ręce« na nasze problemy klasowe. Jego i swoje zadania spełniać więc musi zastępca (...) »Podlizuje« się on (przewodniczący) nauczycielom i zyskuje ich sympatię. Ostatnio złożył rezygnację ze swojego stanowiska, mówiąc wychowawczyni, że nie może »współpracować« z taką okropną klasą. Czy on nie może współpracować z nami czy my z nim?" (List, z którego pochodzi ten wypis, przysłały „Dziewczyny kl. VI F" z Jastrzębia-Zdroju).

Ponieważ „Dziewczyny z kl. VI F" proszą też o radę, odpisuję krótko: nie potrzeba żadnych rad, bo przewodniczący sam dał nogę, więc OD WAS ZALEŻY, czy będzie on zastąpiony kimś odpowiednim dla Was. Może właśnie dobra byłaby Adriana, która tak się przecież sprawdziła jako wiceprzewodnicząca?

Ponury obraz samorządu w opisie działaczki tegoż – to przypadek niecodzienny. Nie jest to jednak „samokrytyka", ale właśnie: ponury obraz. Zresztą sami przeczytajcie kawałek:

„...Zgrana klasa, to by było to! Lecz nie jest! Dlaczego? Gwiżdżą na niektóre problemy klasy, odmawiają pomocy. Skarbnik nie organizuje zbiórek pieniężnych na różne cele. Po prostu okropność (...) Określenie »czarna robota« przyprawia mnie o białą gorączkę. Jest to jednak'trochę zgodne z prawdą. »Czarna robota« – mówią — od tego jest samorząd..."

(Z listu Anki z Toruńskiego)



W podobnym liście - podobny problem. Ale mniej gniewu, więcej rozgoryczenia, poczucia zawodu:

„...Kiedy zostałam wybrana na przewodniczącą Samorządu Szkolnego, miałam nadzieję (okazało się rzeczywistością przysłowie »nadzieja matką głupich«), że uda mi się tę »bezkształtną masę« zamienić, na aktywnych członków samorządu. Nie stało się tak między innymi dlatego, że tacy ludzie nazywani są przez naszych kolegów »wołami roboczymi. A czy ktoś chce być »wołem roboczym«?"

(Fragment listu Justyny z Tychowa Małego)

Zauważcie: „czarna robota", „woły robocze". Skąd u niektórych kologów Anki i Justyny tyle pogardy dla ludzkiej pracy? To prawda, żo nikt nie chce być lekceważony, wyszydzany, że wykonuje robotę głupiego. Ale czy praca samorządu i w samorządzie - to coś, czego się trzeba wstydzić? Nawet jeśli się zrazu nie udaje? Nie jestem tego pewien. Chyba, że jest to pseudosamorząd, o którym pisze korespondent, kierujący swój list do mnie i w związku z moimi felietonami:

„... W większości szkół rozumie się przez to słowo - samorząd - grupę uczniów, którzy jak co roku zostają wybierani na różne funkcje – od przewodniczącego do skarbnika. Samorząd szkolny, czyli ta grupa uczniów (najczęściej przewodniczący) organizuje do czasu do czasu apele z okazji ważniejszych rocznic z »programem artystycznym«. Ten program to jakieś oklepane wiersze I piosenki. Wywieszają na tablicy dyżury. Nazwiska tych przedstawicieli figurują na tablicy czy to szkolnej, czy klasowej. I bardzo często ich działanie tutaj się kończy".

(Fragment listu Piotrka z Rzeszowskiego)

Veto, waszmościowie! Nie zgadzam się! Przede wszystkim nie zgadzam się, że samorząd - żeby był inny - musi koniecznie być zależny od kogoś „z góry", kto zrobi porządek. A to przecież można z Waszych listów wyczytać. Bo nauczyciele są mało uspołecznieni. Bo nauczyciele są „drętwi". Bo działacze samorządu są nieudolni, **A WY? A TY? To przecież Wy jesteście samorządem. Kogo wybierzecie, ten będzie kierował. Co zaproponujecie, to będzie w planie pracy. Do czego się sami zabierzecie, to będzie zrobione.**

I jeszcze jedno: trudności z samorządem, jak każde trudności, mogą być pokonane, pod jednym wszakże warunkiem. Trzeba skoncentrować się na tym, co się chce osiągnąć, a nie na samych trudnościach. I nie na narzekaniu na ludzi, że są tacy, jacy są. To właśnie z nimi trzeba próbować coś robić, bo samorządność – tó również (a może przede wszystkim) okazja, żeby ludzie stawali się inni, lepsi. Szukajmy więc dróg wyjścia. Może są w listach od Was?

CO BY BYŁO, GDYBY...

Gdyby tak idea samorządu uczniów dała się wcielić w życie... Piszecie przecież nie o wszystkich klasach i szkołach na świecie, ale o własnej szkole czy klasie. Gdyby więc to dało się zrobić u nas, w Warszawie, Mławie,- Krakowie, Pikutkowie, Ustrzykach, Rykach, Katowicach, i Wąchocku...

...To by wtedy każdy mógł napisać, jak Mariola z Nowogardu: „Swoich reprezentantów uważam za godnych tej nazwy..." A reprezentanci nie mieliby okazji napisać tak, jak Anka z Gdańska: „To prawda, że samorządność to przedstawicielstwo, ale jakiej sprawy, kogo? Może owe pytania wydadzą się Panu, Redakcji i Czytelnikom śmieszne i bez sensu..." Nie śmieszne, Aniu, i nie bez sensu. Raczej są świadectwem pewnej bezradności.

A co by było, gdyby.. nie w liście, ale właśnie w tym zarządzie, czy „prezydium" wszcząć MIĘDZY SOBĄ rozmowę na temat: jakiej sprawy i jakich ludzi są przedstawicielami nasi „samorządowcy" na „stanowiskach"? Albo jeszcze lepiej: zapytać się innych uczniów (wyborców!) - o to, czego oczekują od samorządu. Oczywiście, poza dyskotekami, bo to wiadomo! A potem RAZEM Z NIMI spróbować te sprawy załatwić.

Wrócę do listu Anki z Gdańska. Sympatyczna ta korespondentka nawymyślała mi od ostatnich, bo napisałem, że samorząd w szkole - to „elita", zbiór „ważniaków", a ktoś, kto by odważnie wskazał na to, że samorząd w szkole jest fikcją, byłby zwykłym krytykantem. Z pokorą przyjąłem burę, ale potem wyprostowałem się nieco, bo wszystkie przykłady z życia, jakie przytoczyła Anka - właśnie potwierdzają tę moją opinię. A ponadto: jeśli piszę źle o złych samorządach, .to przecież chcę, by ich wreszcie nie było (jeśli to możliwe). Anką też wie, co to samorząd, ma doświadczenie, bijące z każdej linijki jej listu. W ostatecznej konkluzji - moglibyśmy się oboje podpisać i pod jej listem, i pod moimi felietonami.

W niektórych listach pojawiły się też opinie wynikające z osobistych doświadczeń - dobrych i złych.

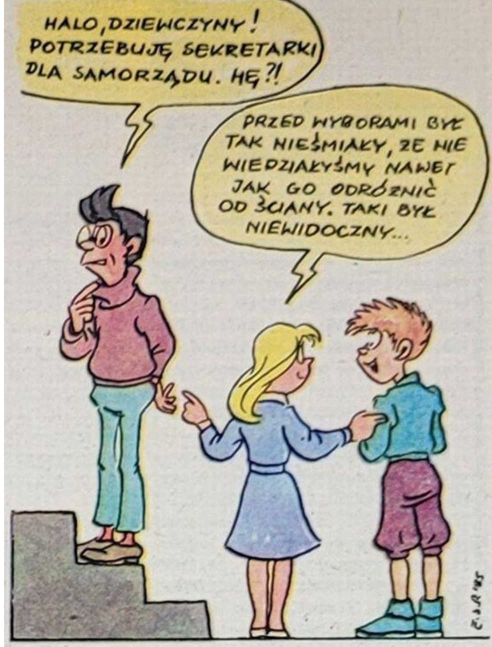
„...Osobiście jestem bardzo przeciwna tęmu, aby osobę lubianą wybierano. Uczniowie nie zastanawiają się nad tym, kto by naprawdę dobrze wykonywał funkcję gospodarza. Uczniowie, którzy by dobrze prowadzili różne sprawy klasowe, są niezauważani, nieśmiali itp..."

(Wypowiedź Anki z Moreny)

„...W klasie, w której obecnie jestem, nie ma kłopotów z wyborem członków samorządu, ale nie można powiedzieć, że każdy z chęcią przyjąłby jakąkolwiek funkcję. Chętni jednak są. Nie twierdzi się, że członkowie samorządu są od »czarnej roboty«. Nie jest to jednak też całkowite sprawowanie władzy, ponieważ niektórzy koledzy po prostu nie podporządkowują się wymaganiom, a nawet prośbom osób z samorządu. Trudności pokonuje się więc nie ze wszystkimi kolegami z klasy. (...)

Moim zdaniem, działalność w samorządzie wymaga pracy, odpowiedzialności i umiejętności wykonywania obowiązków, jakie powinno się wykonywać, pełniąc jakąś funkcję..."

(Fragmenty listu Marka z Zaborowa)



Wśród różnych cech, jakie wymieniacie w swoich listach, przypisując te cechy działaczom samorządowym - zabrakło jeszcze dwóch: cierpliwości i poczucia humoru. Cierpliwość potrzebna jest, żeby nie rozczarować się, gdy Wasza gorliwość i świetne pomysły spotkają się z początku z obojętnością lub nawet uszczypliwością ze strony kolegów. Jeśli coś się trzy razy nie uda, może udać się za czwartym razem. Próbować, ciągle inaczej, ciągle i uparcie - to jest cierpliwość. A poczucie humoru, potrzebne wszystkim ludziom, przydaje się w samorządzie - żeby nie przypisywać wielkiego znaczenia drobnym sprawom, drobnym niepowodzeniom. Trzeba mieć dystans do głupstw. A o ilu głupstwach moglibyście jeszcze napisać, ilustrując je własnymi przeżyciami w samorządzie?

BYĆ JEDNAK SAMORZĄDNYM!

Tak to bywa z korespondencją. Wy napisaliście, ja odpowiedziałem. Czy wszystkim? Nie, bo niektórzy proszą o list osobisty – otrzymają wkrótce (cierpliwości!). Tak, bo – jak mi się zdaje – poruszyłem tu wszystkie ważniejsze sprawy, o których-pisała większość z Was. Mogłem przytoczyć jedynie kawałki ż niektórych listów, cóż robić, nasze pismo nie jest z gumy. Te kawałki przytoczone są wiernie (poprawiłem tylko nieliczne błędy).

Co - ogólnie - wynika z waszej korespondencji? Jedno na pewno: że sprawa samorządności i samorządów nie jest sprawą obojętną dla życia uczniów w szkole. Że jest różnie w różnych szkołach, lepiej lub gorzej, a czasem całkiem źle. I jeszcze coś wynika: że w większości listów sprawę samorządu uważacie za swoją OSOBISTĄ sprawę. To mnie naprawdę ucieszyło. Aha, i jeszcze mnie ucieszyły te listy, w których uważacie za stosowne polemizować z tekstami zamieszczanymi w „ŚM". Jeśli ktoś ma chęć i odwagę wypowiadać swoje zdanie, nawet narażając sięna pokpiwuszki lub ostrą replikę – ten jest na najlepszej drodze, by stać się człowiekiem samorządnym.

Czy zmieniłem swój pogląd w sprawie samorządności uczniów – pod wpływem lektury tych listów? W wielu szczegółowych sprawach dowiedziałem się rzeczy nowych dla mnie – i dziękuję. W sprawach ogólnych – Wasze listy potwierdzają to, co myślę i opisuję – dzięki też i za to. A jednak...

...A jednak czuję teraz, że pozostawszy sceptykiem, jak dawniej, muszę do sceptycyzmu domieszać większą porcję optymizmu. Bo jeśli nawet gdzieś nie jest dobrze – to nigdzie nie jest beznadziejnie. Tego też mnie nauczyły Wasze listy.

JULIAN (KONSTANTY) RADZIEWICZ

JAK PAN WALT DISNEY ZAKŁADAŁ SWÓJ ŚWIAT

W rodzinie Disneyów - Eliasza, handlarza nieruchomościami i Flory z domu Call - najważniejsze były dzieci. A było ich aż pięcioro - czterech chłopaków, wśród nich Walter - przyszły słynny Walt - i jedna dziewczynka. W ich żyłach płynęła krew aż czterech nacji. Dziadek ze strony ojca był Irlandczykiem, babka Kanadyjką. Dziadek ze strony matki był Amerykaninem, a babka Niemką.

Walter – chłopiec żywy, inteligentny, przedsiębiorczy, wysportowany, uczył się raczej średnio. Jego szkolne kłopoty były nawet częściową przyczyną częstych przeprowadzek rodziny. Pierwsza zapowadziła ich na farmę w okolicach Marceline w stanie Missouri. Walter uczęszczał do wiejskiej szkółki, ale większość czasu spędzał na bieganiu po okolicznych lasach. Uwielbiał obserwować zwierzęta i... przydało mu się to potem, choć nauka z powodu tego „hobby" poważnie cierpiała.

Po pięciu latach rodzice zorientowali się, że „zapóźnienie naukowe” ich obiecującej latorośli ciągle się powiększa. Przenieśli się więc znów do miasta - do Kansas City.

Miłość i rodzicielska troska ochraniały dzieci, ale nie przeszkadzało to w ich „zimnym chowie". Walter np zdobywał kieszonkowe roznosząc gazety.

Każdego ranka wstawałem o3.30 aby odebrać swój pakiet. Roznoszenie trwało do 6.00. Potem wracałem do domu na prysznic i śniadanie, no i biegiem do szkoły! Pod koniec dnia czekała mnie tura z wieczornymi gazetami. Zdarzały się ranki, gdy byłem tak zmęczony, że nie słyszałem budzika. Nie udawało mi się wtedy uniknąć spóźnienia na lekcje. Podliczając godziny, które wówczas traciłem, wypadał mi miesiąc z roku szkolnego. Ale egzaminy jakoś zdawałem.

Mimo rozlicznych obowiązków, Walter - jak to bywa z chłopakami w jego wieku - znalazł czas na założenie bandy o bezpretensjonalnej nazwie „Gang". Było to oczywiście tajne stowarzyszenie, które na miejsca swoich spotkań obierało tajemnicze strychy i piwnice. Jak wspominał dorosły już Disney - *Najbardziej zadziwiające było, że stowarzyszenie do tego stopnia było sekretne, iż nikt, nawet* sam *założyciel, nie znał jego celów i dążeń.*

W tym czasie idolem 13-latka był Charlie Chaplin. Z przyjacielem, również Walterem z upodobaniem imitowali świetnego komika w czasie szkolnych przedstawień. Opracowali też numer dwóch stepujących Waltów. Akompaniowała im siostra Disneya. Tym dynamicznym występem podbili publiczność i nawet zdobyli pierwszą nagrodę w lokalnym konkursie. Pobudziło to ambicję młodego artysty do tego stopnia, że wraz z szóstką kolegów założył trupę teatralną, by wystawić „wielki musiacal". Skończyło się gigantyczną klapą i to na pewien czas ostudziło teatralne zapędy Walta.

Disneyowie powrócili do Chicago i zapisali syna do szkoły średniej. Znów nie okazał się orłem.'Wybijał się zdecydowanie jedynie z rysunku i fotografii.

W wieku 15 lat uznał zresztą, że jest wystarczająco dojrzały, by wziąć udział w wojnie, walcząc w Europie z Niemcami. Ponieważ armia amerykańska nie dała się zwieść zapewnieniom młodzieńca, iż jest już pełnoletni, wciągnięto go jedynie w rejestry ochotników i kazano oczekiwać powołania. Niezrażony zgłosił się do Centrum Rekrutacyjnego Kanadyjczyków. Ale i tu mu się nie powiodło.

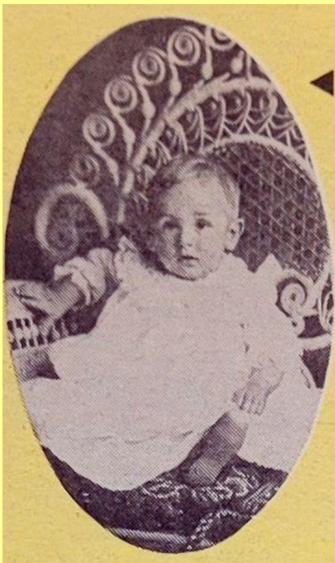
Zdecydował się więc rzucić w wir samodzielnych „interesów". Ku przerażeniu rodziców całkowicie porzucił naukę, a swoje oszczędności zainwestował w zakup małego wózka. Załadował go torebkami orzeszków ziemnych i innych łakoci, oraz napojami chłodzącymi. Zainstalował swój „dom towarowy" w poczekalni centralnego dworca i znakomicie prosperował. Z czasem zaangażował wspólnika, który zastępował go, gdy on, z drewnianą skrzynką wypełnioną słodyczami, krążył po pociągach między Chicago i Cansas.

Niestety, interes upadł, gdyż armia wykazała się znakomitą pamięcią i po upływie półtora roku przypomniała sobie, iż pewien młody człowiek marzy, by walczyć w Europie. Ze względu na młody wiek, przydzielono mu funkcję szofera medycznego ambulansu...

Ten ambulans był wyjątkowo wesoły. Przyszły, najsłynniejszy rysownik świata, pokrył stary wehikuł barwnymi karykaturami znajomych szeregowców. Szczęśliwie jeździł nim 12 miesięcy i powrócił z bojów I wojny światowej do rodzinnego Kansas.

Nadszedł czas na podjęcie życiowej decyzji. Tylko dwie dziedziny pociągały Walta naprawdę - aktorstwo i rysunek... ale którą wybrać? Rysowanie wydało mu się zawodem pewniejszym,

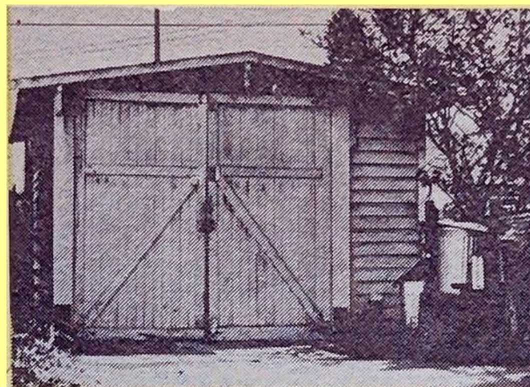




Tak wyglądał najsłynniejszy rysownik świata w wieku 9 miesięcy

Nie trzeba ich chyba przedstawiać...

Tu urodził się Miki





w którym łatwiej o pracę ze stałym wynagrodzeniem. Zresztą – miał już w tej dziedzinie pewne sukcesy finansowe.

Od małego nie rozstawałem się ze zmajstrowanymi przez siebie sztalugami. Kiedyś tak dotkliwie poraniłem sobie kolana, że musiałem szukać pomocy lekarza. Niestety, nie miałem grosza. Dziś już sam nie wiem skąd wzięła się we mnie taka pewność siebie, ale zaproponowałem lekarzowi, że wynagrodzę go rysunkiem. Udaliśmy się na pobliską łąkę i tam sportretowałem go gdy dosiadał potężnego ogiera. Był to, jak sądzę fatalny rysunek, ale żonie medyka spodobał się ogromnie. Rachunek uznali za wyrównany.

Walter Disney po powrocie z Francji czuł się już „zbyt stary”, by kontynuować naukę. Przypomniał sobie natomiast, że ojciec jednego z jego dawnych kolegów kieruje agencją reklamową. Zaproponował niu swoje usługi. Został zobowiązany do rysowania zwierząt, narzędzi rolniczych - i jak mówił - „chłopów śmiejących się i krów szczęśliwych".

Jako stażysta był niecnie wykorzystywany. Jego rysunki wykańczali i kolorowali starsi pracownicy. Zarobił w ciągu miesiąca zaledwie 50 dolarów, a do tego nie przedłużono z nim umowy o pracę. Znowu usiłuje rozkręcić własny interes. Projektuje afisze teatralne i pomoce szkolne. Udało mu się też dogadać z właścicielem lokalnego pisemka, który w zamian za reklamowe rysunki zaofiarował mu garaż-pracownię. Walt Disney zaczął współpracować ze Swoim późniejszym wspólnikiem - Ubbe Iwerksem. W ciągu 2 miesięcy wspólnie zarobili zaledwie 125 dolarów. Byli zmuszeni więc znaleźć stałą pracę.

Disneyowi udało się zahaczyć w studio animowanych rysunków reklamowych. Metody animacji były wówczas prymitywne. Po prostu nogi i ramiona wycinanych z kartonu postaci były ruchome. Ich położenie zmieniano za pomocą szpilek i w kolejnych fazach - filmowano. Dawało to iluzję ruchu, ale twarze nie zmieniały się, a fałdy ubrań były nieruchome. Te niedoskonałości denerwowały młodego Disneya.

W kącie studia odkrył starą kamerę, której nikt nie używał. Naprawił ją i przeniósł do siebie. Posługując się starym stołem i podwójną drabiną stworzył ... rewolucyjną technikę animowania rysunków: wymyślił rysunki na celofanie. Teraz łatwiej było poruszać postaciami, szpilki stały się niepotrzebne, a także można było filmować dekoracje i pejzaże na wielu planach. Dyrektor studia, w którym pracował młody rysownik uznał, że idea ta jest wspaniała, ale, jak to w życiu bywa... odmówił zastosowania jej w produkcji.

Walt i Ubbe postanowili więc działać samodzielnie. Zaangażowali jeszcze dwóch rysowników i w starym walącym się garażu założyli swoje pierwsze rysunkowe atelier i studio zdjęciowe firmowane przez Disneya. I tam właśnie Walt spotkał... pana Myszkę Miki.

Myszy było tam pełno. Łapałem je i trzymałem w klatkach, by obserwować ich cechy, sposób poruszania się, a nawet mimikę. Jednego samczyka trzymałem aż 15 dni, no i skończyło się to oswojeniem. Najpierw nadałem mu poważne imię Mortimer, ale w końcu nazywałem go Miki. Być może niszczę tu legendę, ale Myszka Miki nie narodził się w pociągu na trasie do Cansas. W czasie podróży wpadłem tylko na pomysł że zrobię z niego bohatera filmowego.

W starym garażu w ciągu 4 lat powstały dziesiątki animowanych rysunków i historyjek, w większości o wróżkach, jak np. „Alicja w Kraju Rysunków” – czarno-biała poprzedniczka ,.Alicji w Krainie Czarów”.

Ale to Myszka był szansą młodego studia. Zainteresowały się nią wielkie firmy reklamowe. Chciano odkupić od Disneya prawa autorskie, ale choć nie miał on środków na lansowanie swych filmów wiedział, że taka szansa jak ta może się więcej nie powtórzyć. W nowej wersji Myszka Miki występował z dźwiękowym podkładem (sam jeszcze nie przemówił), no i ten film właśnie - noszący tytuł „Parowiec Willy" okazał się przebojem.

Tak skromnie rodził się świat Walta Disneya. Myszka Miki, Kaczor Donald, Pies Pluto i wszystkie te urocze postacie, które wkrótce do nich dołączyły, zachwycają nas już przeszło pół wieku. A świat Disneya, choć on sam zmarł w 1966 roku jest ciągle światem wspaniałym, pięknym, bogatym i jak dotąd - bezkonkurencyjnym, **(eb)**

Fot. **„Cinè Revue”**

Czysta woda = URODA

DOM MODY świata młodych

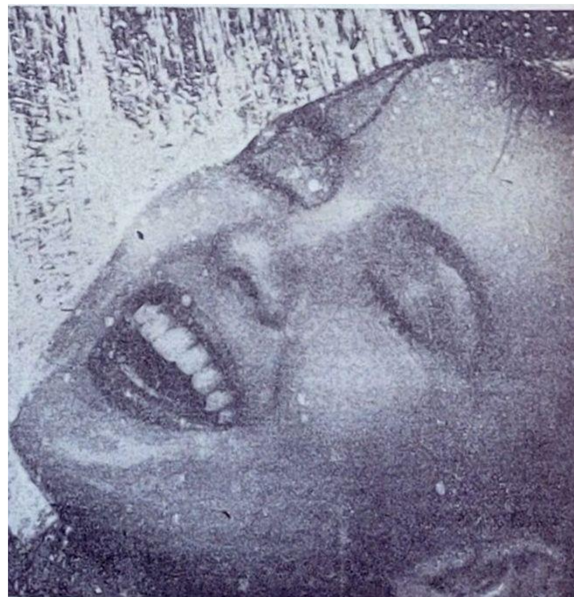
Wstydzę się ogromnie, że na taki temat dziś będę pisała, ale – wybaczcie, po prostu muszę. Życie tak mi się bowiem ułożyło, że kilka dni spędziłam ostatnio w towarzystwie grupy nastolatek. Dziewczyn mających o sobie mniemanie, że są ogromnie eleganckie. Miały różne drogie i modne ciuchy, często je zmieniały, spędzały przed lustrem masę czasu, a przy tym wszystkim... No cóż, muszę to powiedzieć wprost – najzwyczajniej' w świecie śmierdziały. Nic zresztą dziwnego. Tyle im czasu zajmowało mizdrzenie się przed lustrem, że na mycie się zostawało go bardzo niewiele. Ot, tyle, żeby machnąć jak kot łapą. Ale o ile kotu to wystarcza, dziewczynie – bynajmniej nie. I żadne pachnidła, nawet najdroższe peweksowskie dezodoranty najzwyczajniejszej wody nigdy nie zastąpią.

Przepraszając więc raz jeszcze te z Was, których uwaga ta nie dotyczy, chciałam jednak raz jeszcze przypomnieć, że jest to prawda najpodstawowsza z podstawowych – bez wody i mydła nie ma żadnej elegancji. I być nie może. Najmodniejsza że wszystkiego jest bowiem maksymalna czystość i ciuchów, i – w pierwszym rzędzie – całego ciała. Owszem, woda kwiatowa czy nawet perfumy, dezodorant – to rzeczy pożyteczne i dla dziewcząt właśnie stworzone, ale tylko i wyłącznie po myciu, nigdy – zamiast.

I bardzo proszę nie zwalać niechlujstwa na warunki. Nie w warunkach rzecz, ale w nawykach. W każdych warunkach można sobie, jeśli się chce i odczuwa taką potrzebę, zorganizować przynajmniej raz na dobę mycie w ciepłej wodzie z mydłem od stóp do głowy. Jest to oczywiście prostsze gdy można wejść pod prysznic, ale i przy użyciu miski, kubeczka (ew. gąbki) i pół wiaderka ciepłej wody też można zorganizować skuteczną kąpiel. Do mycia zębów wystarcza wody odrobina, paznokcie można wyszorować i w wodzie zimnej. Naprawdęl Znam dziewczyny, które mieszkają w domach, gdzie wodę się nosi ze studni i.dosłownie pachną czystością. A bywają i takie, które mają wyłożone kafelkami łazienki i... korzystają z nich bardzo rzadko.

I nic nie pomoże w takim wypadku pilne śledzenie co w modzie nowego, sprawianie sobie wystrzałowych ciuchów, używanie drogich kosmetyków. Dwa kosmetyki podstawowe – woda i mydło – nie kosztują majątku. Szkoda, że nie wszystkie dziewczyny o tym pamiętają. Błagam, weźcie sobie tę uwagę do serca. Ale tak naprawdę na poważnie. Bo to wcale, niestety, nie jest żart!

RIUSZKA



NA SZLAKACH PRZYGÓD KOZAKÓW I JANCZARÓW!!!

II część barwnych losów Hanusza Bystrego w filmie kontusza i szabli pt.

„PRZEKLĘTE OKO PROROKA”

reż. Paweł Komorowski w rolach głównych Lubomir Cwetkow, Djako Rosić i inni.

PRF „Zespoły Filmowe” Zespół Filmowy „OKO” Studio Filmowa Bojana – LRB.

(K-22)

UŚMIECH NUMERU

RODZINA MĄDRALÓW zajechała w czasie wakacji swoim fiatem do małego miasteczka. Pod jednym z domów w rynku strażacka orkiestra gra wesołego marsza.

- Co to za święto? – pyta Mądrala kapelmistrza.

- Gramy z okazji urodzin naszego naczelnika miasta! On tu mieszka...

- Widać niezbyt dobrze wychowany! - stwierdza pani Mądralowa. - Mógłby się chociaż pokazać na balkonie...

- Nie mogą być jednocześnie w dwóch miejscach! - odpowiada puzonista orkiestry.

ŚWIAT MŁODYCH

NAUCZYCIELSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.

Nr 22 (3952)

wychodzi: wtorki, czwartki i soboty

Nr indeksu 35046 PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul.Mokotowska 24, 00-561 Warszawa

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny) Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (zastępca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. Naczelny 21-15-61. Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch'” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Marlena Hanke

Opracowanie techniczne: Jerzy Rusak

Korekta: Bianka Abratowska-Lisowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nakład 500 000. Nr zam. 495/G. N-22

Otrzymuję sporo listów i prośbą o pomoc w zdobyciu odpowiednich szkieł do budowy amatorskich lunet, a także podanie sposobu ich wykonania. Ponieważ sam nie jestem w stanie tych próśb załatwić, więc zwracam sfę do tych Czytelników, którzy mogą pomóc młodszym kolegom. O taką pomoc zwracają się: ● Dariusz Kałamarski, ul.Krasińskiego 19/2, 86-008 Bydgoszcz, ● Robert Wądrzyk, 32-641 Przeciszów 709 ● Marek Tomera, ul. Bajeczna 1/22, 31-566 Kraków, Darek ponadto chciałby odkupić od kogoś „Atlas nieba” oraz „Poradnik miłośnika astronomii”

A teraz zapraszam do lektury TOMIKA

PREZES

TOMIK

Pierścienie Saturna

Pierwszych teleskopowych obserwacji Saturna dokonał w 1610 roku **Galileusz**, jednak zarówno on jak i inni ówcześni astronomowie nie potrafili dociec, czemu Saturn zawdzięcza swój tak tajemniczy wygląd.

Dopiero w 46 lat później (1656), **Christian Huygens** rozpoznał w nim cienki pierścień, leżący dokładnie w płaszczyźnie równika Saturna i w żadnym miejscu nie dotykający planety. Późniejsze obserwacje naziemne oraz obecnie przeprowadzane bezpośrednio wokół Saturna przez sondy międzyplanetarne, wykazały, iż mamy do czynienia nie z jednym, lecz z wieloma pierścieniami, rozdzielonymi przerwami. Okazało się też, że mają one grubość zaledwie 150 metrów!

W 1848 roku francuski matematyk **E. A. Roche** stwierdził, że istnieje granica najmniejszej odległości pomiędzy takimi ciałami kosmicznymi jak planety i księżyce. Jeżeli mniejsze z ciał znajdzie się bliżej niż 2,455 promienia ciała większego, wówczas nastąpi jego rozerwanie wskutek sił przypływowych. Żaden ze znanych nam obecnie satelitów nie obiega swej planety bliżej niż Granica Roche'a. Pierścienie Saturna rozciągają się w strefie szerokości od 1,19 do 2,30 promienia planety. Wysunięto więc hipotezę, że mieliśmy do czynienia z rozpadem satelity Saturna, który dostał się do wnętrza Granicy Roche'a. Bardzo możliwe, że miały na to wpływ inne satelity Saturna. Teraz każdy z odłamków stał się oddzielnym małym satelitą i może już bezkarnie krążyć wewnątrz zakazanej strefy, gdyż ciałom o mniejszej średnicy niż kilkadziesiąt km nie grożą już siły przypływowe.

W 1665 roku Bali po raz pierwszy dostrzegł na pierścieniu Saturna czarną linię. Nie wiedział jednak co obserwuje. Dopiero w 1675 roku Gian Domenico Cassini podał wyjaśnienie tego zjawiska, jako szczeliny pomiędzy pierścieniami.. Owa szczelina została nazwana jego nazwiskiem. Od tej pory mówiono już o pierścieniach Saturna.

Charakterystyka pierścieni

Pierścień A jest w miarę jednolity i zawiera najwięcej drobnych ciał - brył lodu i materii. Pierścień ten rozciąga się od ok. 60 000 do 74 000 km, licząc od najwyższych warstw chmur planety. Jego szerokość wynosi około 17500 km. Nie opodal jego zewnętrznej krawędzi zauważono podczas obserwacji naziemnych wąską, bo zaledwie 350-km przerwę Enckego, która powstała wskutek oddziaływania nowo odkrytych księżyców 1980 S1 i 1980 S3. Potwierdzono również istnienie radialnych, ciemnych smug, które po raz pierwszy obserwowano w 1896 r. Przemieszczają się one po pierścieniu z okresem równym okresowi ruchu wirowego samego Saturna.

Najbardziej skomplikowaną strukturę budowy posiada najjaśniejszy z pierścieni I zarazem przezroczysty **pierścień B**. Z powodu wielkiej liczby składowych kręgów jest porównywany do płyty gramofonowej. Przemieszczające się po pierścieniu B podobnie jak i po A ciemne smugi są zapewne naładowanymi elektrycznie cząsteczkami, oddziałującymi z polem magnetycznym Saturna - stąd też taka sama prędkość kątowa ruchu wirowego tych smug i planety. Pierścień B ma szerokość 26000 km. Między pierścieniem B i A istnieje tzw. **przerwa Cassiniego** o szerokości niemal 4 000 km.

Skomplikowaną budowę wykazuje również **pierścień C**, który składa się przypuszczalnie z brył materii o rozmiarach ok. 1 metra. Nazywano go dawniej krepowo-wewnętrznym. Ma on 6 500 km szerokości i rozciąga się od 12 500 do 19 000 km, licząc od najwyższych warstw obłoków. Między pierścieniem C i B znajduje się tzw. przerwa francuska - 1 000 km - którą w 1943 roku odkrył **Bernard Lyot**. Jest ona jednak mało wyraźna.

W 1974 roku **Paul Guerin** dostrzegł najbardziej wewnętrzny słaby **pierścień D**, lecz jego istnienie potwierdził dopiero „Voyager-1". Pierścień ten rozciąga się powyżej górnej warstwy chmur w atmosferze Saturna I ma szerokość kilku tysięcy km. Jest on odzielony dosyć szeroką szczeliną od pierścienia C.

Kamery „Voyagera-1" zarejestrowały również bardzo słaby **pierśćeń E** znajdujący się poza orbitą księżyca Enceladusa.

W odległości ponad 3 000 km od zewnętrznej krawędzi pierścienia A, sonda „Pioneer-11" zarejestrowała istnienie bardzo wąskiego **pierścienia F**. Jest on bardzo zadziwiający, bowiem składa się z kilku kręgów nawiniętych śrubowo wokół siebie. Za strukturę tego pierścienia może być odpowiedzialne oddziaływanie dwóch nowo odkrytych księżyców oznaczonych prowizorycznie 1980 S 26 oraz 1980 S 27. Szczelina między pierścieniem A i nowo odkrytym pierścieniem F otrzymała nazwę **przerwy Pioneera**.

Sonda „Pioneer-11" odkryła również cienki **pierścień G**. Znajduje się on pomiędzy orbitami księżyców Rhei i Tytana w odległości ok. 500 000 km od Saturna.

W przerwie Cassiniego zidentyfikowano ponad 20 eliptycznych kręgów. Cztery z nich są zadziwiająco regularne i wyraźnie widoczne. Również w przerwie Enckego dostrzeżono dwa kręgi - jeden w jej środku, nieregularny, słaby i wąski, bo wynoszący zaledwie 20 km, drugi - przy zewnętrznej krawędzi tej przerwy.

Z wyjątkiem przerwy Cassiniego, którą można zobaczyć nawet przez małe teleskopy, wszystkie inne szczeliny można dostrzec dopiero przez wielkie przyrządy o doskonałej optyce.

Oprócz pierścieni, nadających planecie tak wielce charakterystyczny i oryginalny wygląd, Saturna obiega również liczna rodzina księżyców, których jak dotąd odkryto siedemnaście, możliwe jednak, że jest ich więcej.

Na zakończenie warto dodać, że Saturn nie jest jedyną planetą posiadającą pierścienie. Oprócz niej posiadają je również dwie inne planety naszego Układu Słonecznego - Uran i Jowisz. Odkryto je w 1977 (Uran) i w 1979 roku (Jowisz).

Mariusz Kołłątaj
ul. Kaliningradzka 77/43
10-437 Olsztyn

Schemat układu pierścieni i przerw między nimi w stosunku do planety. Najwcześniej odkrytą przerwą i zarazem najokazalszą jest przerwa Csssiniego (między pierścieniami A i B)

Ogólny widok Saturna wraz z pierścieniami

VOYAGER

– niedoszła misja na Marsa

Mało znany jest fakt, że próbniki „Voyager", które tak wydatnie wzbogaciły naszą wiedzę o Jowiszu i Saturnie, miały poprzednika o tym samym imieniu, mniej jednak udanego.

W początkach lat sześćdziesiątych NASA rozpoczęła szeroko zakrojone prace nad projektem automatycznego próbnika Marsa, nazwanego właśnie „Voyager". Miał on być wysłany za pomocą rakiety Saturn 1-B, uzupełnionej o człon Centaur. Ówczesny „Voyager" składać się miał z członu orbitalnego o masie około 800 kg, funkcjonującego przez przynajmniej pół roku, bloku silników wyhamowujących próbnik po dotarciu do planety (masa 1-2 tony) i aparatu lądującego o masie pół tony, wyposażonego w spadochronowy system wytracania prędkości i generator radioizotopowy o mocy 300 W. Aparat lądujący miał pracować 6 do 12 miesięcy, prowadząc przede wszystkim badania biologiczne za pomocą specjalnie projektowanej aparatury analitycznej (...)

W roku 1966 przeprowadzono balonowe i rakietowe próby aparatu lądującego i jego systemu spadochronów. W roku 1967, w rezultacie śmierci trzech astronautów przygotowujących się do lotu w statku kosmicznym „Apollo 1", a także ówczesnych okoliczności politycznych, dokonano przeglądu priorytetów narodowych USA i postanowiono wszystkie siły skupić na realizacji programu „Apollo". Projekt „Voyager", mimo znacznego zaawansowania prac nie został zatwierdzony i wskutek braku finansów zarzucono go. Mars doczekał się jednak następców tamtego „Voyagera": w roku 1976 pomyślnie wylądowały na nim aparaty lądujące próbników „Viking".

Tomasz Koźmiński
ul. Morcinka 5/9
43-100 Tychy
przew. KAAF

- Dobrze. Tak. Muszę się wyspać.
- Zaprowadzę cię.

Umilkł na chwilę, a wtedy odezwała się moja mama.

- Dość - powiedziała.

Usłyszałam kroki. Mama wstała i odeszła od stołu, a znałam przecież naszą kuchnię i rozumiałam, że mama przechodzi przez nią bez żadnego rozsądnego celu. Podniosła się od stołu, obróciła, ruszyła prosto przed siebie, do ślepej ściany, pod którą stały trzy krzesła. I zawróciła.

- Nie chcę o tym słyszeć.
- Dobrze - zgodził się mężczyzna - Powiem ci, co było, kiedy wstałem.

Mama usiadła, szczęknęła filiżanka.)

Otworzyłem oczy, kiedy słońce stało już wysoko i mięśnie miałem napięte i gotowe do działania. Ale w tej samej chwili rozluźniłem je. Zaspałem. Było za późno na ucieczkę. Pełnia dnia. Maureen mnie oszukała.

Leżałem, gapiąc się w okno wypchane błękitem. Jedynie w jednym rogu ukwiecona ogromnymi kielichami gałąź zbliżała się do ściany, prawie wciskała do pokoju. Potem obejrzałem pokój, był ubogi, nawet jak na te okolice. Leżałem na łóżku wprawdzie szerokim, ale niewiele różniącym się od pryczy, której niedbale dosztukowano okrągłe, potężne nogi. Obok mnie, tuż przy głowie, sterczało żelazne, składane krzesło, z którego obłaziła biała farba, ściany były gołe, jedynie nad drzwiami wisiał obrazek z Matką Boską. Podłogą zaścielał szary chodnik z grubych włókien. To wszystko. Nie, stała tam jeszcze szafka, otwarta, o pustych półkach.

Czekałem, aż po mnie przyjdą ci, którzy polowali na ludzi na pampie, ale kiedy usłyszałem kroki, uspokoiłem się: nadchodziła Maureen. Wtedy po raz pierwszy obaczyłem jej twarz. Była piękna.

Potrząsnęłam głową. Zaniepokoiło mnie ostatnie słowo. Nie był to po prostu przymiotnik określający urodę. Mężczyzna włożył w to słowo coś jeszcze. Nie umiałam tego nazwać.

A moja mama powiedziała znów:

- Dosyć.

Mężczyzna umilkł, a kiedy odezwał się znów, jego głos brzmiał słabiej i drgała w nim odrobina zniechęcenia.

Kazała mi zejść do piwnicy. Wstałem, ubrałem się i bez słowa ruszyłem do piwnicznych drzwi. Próbowała zatrzymać mnie na chwilę jakimś miękkim gestem, ale odsunąłem jej rękę i zszedłem na dół.

Zawołała za mną, że powiedziała ludziom o mojej ucieczce. I że brat wrócił właśnie i potwierdził jej słowa. Opowiedział, jak napadłem na nich przed wejściem do miasteczka i umknąłem w kierunku pampy. Ludzie uwierzyli.

Milczałem. Wtedy zamknęła drzwi, słyszałem szczęk rygli. Wypuściła mnie o zmroku. Znów ominąłem jej dłoń, kiedy może chciała dotknąć mnie na pożegnanie.

Stanąłem na progu domu i wdychałem gorące jeszcze, ale już odświeżone wiatrem powietrze. Maureen zatrzymała się za moimi plecami i cicho szeptała, w jakim kierunku mam iść. Wiedziałem to bez jej wskazówek. Ruszyłem. Zawołała za mną i po raz pierwszy w jej głosie brzmiało coś więcej niż obojętność. Ale nie znałem jej i nie wiem, co to było, choć przez chwilę wydawało mi się, że to była rozpacz.

- Nie chcesz wiedzieć, dlaczego cię złapaliśmy?

Zatrzymałem się. Czekałem, nie patrząc na nią.

- Szukaliśmy zła - powiedziała. - Zło jest tutaj i nas stąd wypędza. Chcieliśmy je zabić.

Urwała, jakby spodziewała się, że coś powiem.

- Myśleliśmy, że to ty. I tamten, który zginął - powiedziała. - Ale ja wiem, że to nie ty. I nie tamten.

Znów zrobiła pauzę.

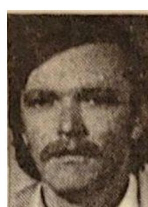
- Ale ono jest. Przyszło razem z wiatrem. Wypędza nas, a my nic złego nie zrobiliśmy tej ziemi. Chcemy pozostać.
- Myślicie, że to człowiek?
- Nie. Ale czasem wygląda jak człowiek. Połowa ludzi już stąd uciekła.
- Co on robi? Ono? To zło?
- Nie wiem - szepnęła i podeszła do mnie, zatrzymała się tuż za moimi plecami, - Ale starzy mówią, że dawniej było dobrze. I że teraz jest źle. Bo zło przyszło do nas.
- To bzdury.
- Tak.
- Przesądy. Może klimat się zmienił, może wiatr na was działa, może zło jest w was. Odejdź stąd.
- Nie mam dokąd. Nie chcę. Tu się urodziłam.

Cdn.



NAJKRÓTSZA HISTORIA WYNALAZKÓW

18



MIĘDZY DWIEMA WOJNAMI

BOLESŁAW ORŁOWSKI - TEKST ***RYSUNKI - TADEUSZ RACZKIEWICZ***

Wojna zmusza ludzi do maksymalnego wysiłku, także umysłowego. Dlatego właśnie podczas wojen postęp techniczny ulega przyśpieszeniu. Wprowadza się wówczas wiele udoskonaleń i usprawnień, dążąc do jak największej skuteczności środków i metod. Znacznie mniej zwraca się wtedy uwagę na ich koszt, czy opłacalność. W takiej sytuacji może dojść do urzeczywistnienia pomysłów, które mogłyby nie znaleźć uznania podczas pokoju. Sporo takich nowości zostaje później z powodzeniem wykorzystanych do zwykłych, cywilnych celów.

Takim potężnym motorem postępu była pierwsza wojna światowa, tocząca się - głównie w Europie - w latach 1914-1918. Narodziły się podczas niej dwie ważne nowości wojskowe - czołg i lotniskowiec. Największy wpływ wywarła jednak na rozwój lotnictwa, które w trakcie tych zmagań uległo nadzwyczajnemu udoskonaleniu, przekształcając się z ciekawostki technicznej dla ryzykantów w dojrzały środek komunikacji.







W1919 roku dwaj brytyjscy lotnicy wojskowi, John Alcock i Arthur Whitten Brown, dokonali - jako pierwsi - przelotu nad Oceanem Atlantyckim'(Amerykanin Charles Lindbergh, któremu powszechnie przypisuje się ów wyczyn, zrobił to dopiero w 1927 roku). W tymże roku powstały w Niemczech, Anglii i Francji pierwsze regularne pasażerskie linie lotnicze. Użyto na nich przerobionych do tego celu bombowców, obsługiwanych przez zdemobilizowanych pilotów wojskowych. Począwszy od lat dwudziestych zaczęto budować specjalne samoloty, przeznaczone do przewozu pasażerów. Na początku lat trzydziestych pojawiły się w Stanach Zjednoczonych pierwsze nowoczesne dwusilnikowe samoloty pasażerskie wyposażono w chowane podwozie, mogące w razie potrzeby kontynuować lot o jednym silniku.

Na dłuższych dystansach rywalizowały jeszcze wówczas z samolotami wielkie sterowce. Używano ich do efektownych wyczynów–lotów polarnych czy podróży dookoła świata. Obsługiwały też komunikację pasażerską przez Atlantyk, do czego nie nadawały się jeszcze ówczesne samoloty. Największy udział miały w tym niemieckie zepeliny. Jednakże sterowce, choć pozornie bezpieczniejsze i mniej zawodne od samolotów, kryły w sobie straszliwą groźbę. Był nim wodór - łatwopalny gaz, którym je wypełniano. Po serii tragicznych katastrof, w 1937 roku ostatecznie przestano z nich korzystać w komunikacji powietrznej.

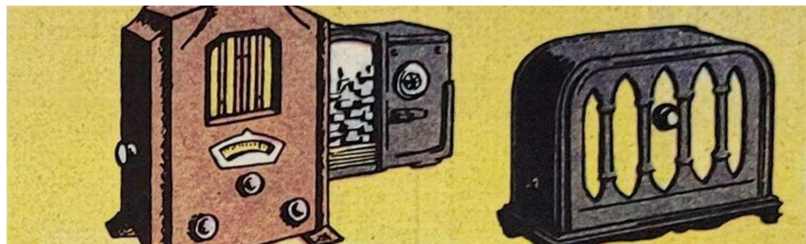
Stal i żelbet odgrywały już wówczas w budownictwie podobną rolę jak dzisiaj. Nowym materiałem, wprowadzonym do praktyki w tej epoce, był beton wstępnie sprężony - rodzaj udoskonalonego żelbetu. Elementy konstrukcji stalowych zaczęto łączyć spawaniem. Przyniosło to oszczędność na materiale w porównaniu z konstrukcjami nitowanymi- stosowanymi dotąd - a więc i mniejsze koszta. Przodowała w tej dziedzinie Ameryka. W Europie pierwszy most spawany zbudował w 1928 roku na rzece Słudwi pod Łowiczem polski inżynier Stefan Bryła. Był on też autorem pierwszych na świecie przepisów dotyczących stosowania spawania w budownictwie, które stały się wzorem dla innych krajów. Nie wszędzie od razu przyjęto tę nowość, łączyła się bowiem z pewnym ryzykiem - nie umiano jeszcze wówczas kontrolować jakości wykonania spoin.

Dwudziestolecie międzywojenne było okresem ogromnego rozwoju motoryzacji. W związku z tym zaczęto budować autostrady, czyli bezpieczne, drogi przeznaczone do szybkiej jazdy, nie krzyżujące się z innymi na jednym poziomie i omijające większe skupiska ludzkie. Pierwsza z nich powstała w 1924 roku we Włoszech. W latach trzydziestych stosunkowo'gęstą sieć autostrad zbudowały Niemcy (odgrywały w tym rolę względy strategiczne) oraz Stany Zjednoczone.

W 1920 roku rozpoczęła pracę w Pittsburghu w Stanach Zjednoczonych pierwsza rozgłośnia radiowa, nadająca program dźwiękowy, a w sprzedaży pojawiły się pierwsze produkowane fabrycznie radioodbiorniki. W ciągu następnych kilku lat zaczęto nadawać stałe programy radiowe w wielu krajach.

Prowadzone od ostatniej ćwierci XIX wieku, bezowocne próby stworzenia telewizji, zostały w końcu uwieńczone pomyślnym rezultatem w roku 1925. Wtedy to Szkotowi Johnowi Bairdowi udało się przekazać na odległość obraz człowieka w ruchu. Do publicznego pokazu tego wynalazku doszło w Londynie w 1926 roku. System Bairda opierał się na zasadzie mechanicznej.

W następnych latach w Stanach Zjednoczonych (głównie dzięki pracom imigranta z Rosji, Vladimira Zworykina) i w Wielkiej Brytanii stworzono podstawy znacznie doskonalszej telewizji elektronicznej, która ostatecznie znalazła zastosowanie praktyczne. W 1936 roku, najpierw w Wielkiej Brytanii, a wkrótce potem w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych, zaczęto nadawać programy telewizyjne.



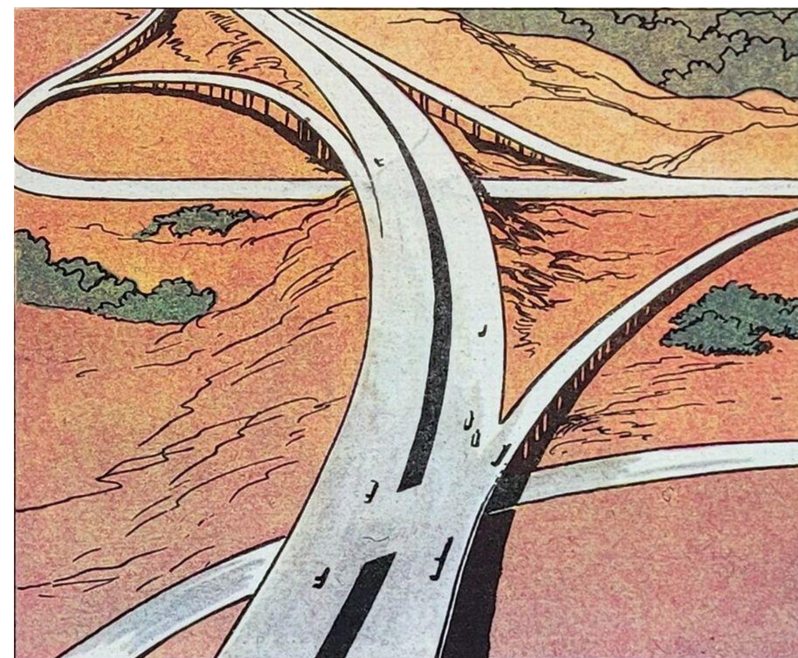
PIERWSZE ODBIORNIKI RADIOWE

Unowocześnieniu uległo kino. Na początku lat dwudziestych w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych pojawiły się pierwsze filmy dźwiękowe. W pełni udane takie filmy nakręciła amerykańska firma braci Warner w latach 1927–1928. Od końca XIX wieku próbowano stworzyć film barwny. Jednym z jego pionierów był nasz rodak, wszechstronny wynalazca Jan Szczepanik, zwany „polskim Edisonem". Opracował on w latach 1918–1925 system udatnie odtwarzający kolory naturalne, ale zbyt kosztowny. Wynalazcą praktycznego systemu filmu barwnego, stosowanego po dziś dzień technikoloru, był Amerykanin Herbert Kalmus. Od 1932 roku filmy nakręcono w technikolorze zaczęły się upowszechniać na ekranach kin.

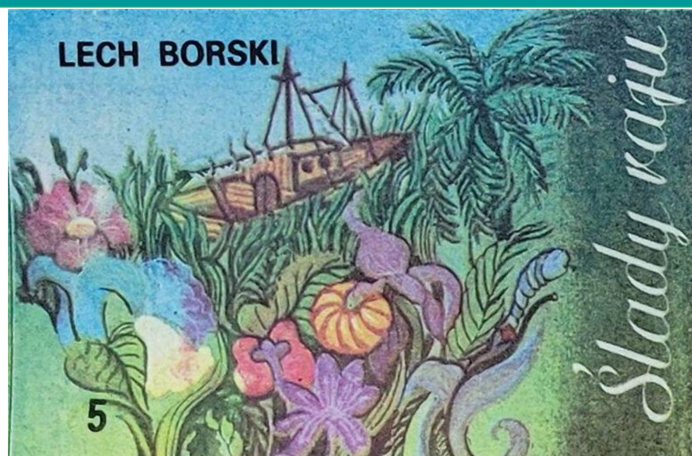
W latach trzydziestych więc, życie codzienne w wielu dziedzinach było już zbliżone do naszego. W Niemczech pojawiły się wówczas pierwsze magnetofony, oparte na wynalazku magnetycznego utrwalania i odtwarzania dźwięku, opatentowanym jeszcze w 1898 roku przez Duńczyka Waldemara Poulsena. W Stanach Zjednoczonych rozpoczęto w 1938 roku przemysłową produkcję nylonu, wynalezionego rok wcześniej przez chemika Wallace'a Carothersa. Obie te nowości miały się szeroko upowszechnić dopiero po drugiej wojnie światowej.

W epoce międzywojennej prowadzono ważne badania naukowe, których rezultaty miały w decydujący sposób wpłynąć na dalsze losy świata i nasze obecne życie. Dotyczyły one najgłębszych tajemnic materii, ówcześni fizycy starali się poznać wnętrze atomów – niesłychanie malutkich cząstek, z których zbudowane są wszystkie ciała. Odkrywali składające się na atom jeszcze mniejsze cząstki elementarne, badali ich właściwości i śledzili zachowanie. Dla przeprowadzania tych doświadczeń konstruowali pomysłowe, nadzwyczaj precyzyjne urządzenia. Najważniejszym z nich był cyklotron, zbudowany w 1932 roku przez amerykańskich uczonych, Ernesta Lawrence'a i Miltona Livingstona. Zdobyta wówczas wiedza miała stać się niebawem podstawą wyzwolenia i opanowania energii jądrowej...

W latach trzydziestych nad przyszłością tak wspaniale rozwijającego się świata zaczęły się gromadzić ciemne chmury. Przygotowujące się-do podbojów Niemcy przestawiły swój potężny nowoczesny przemysł na produkcję dla celów wojskowych. Ponieważ miała to być wojna błyskawiczna, główny nacisk kładły na rozbudowę broni pancernej i lotnictwa. Na kilka dni przed jej wybuchem odbył pierwszy lot samolot z silnikiem odrzutowym – był to niemiecki myśliwiec Heinkel He–178.







Wymacując ściany rękoma, ostrożnie kroczyłem wąskim korytarzem, jeszcze jedne drzwi, i Maureen powiedziała:

– Zejdź na dół.

- Zamykasz mnie? Przecież nie ucieknę.

- Zejdź na dół - powtórzyła z uporem i z cieniem grozy. - Uważaj na stopnie.

Po omacku ześliznąłem się na dół, a potem upadłem na czworaka i palcami poznawałem kształt pomieszczenia, w którym się znalazłem. Podłogę tworzyły kamienne płyty, takie same jak na górze, te, po których szedłem od furtki do domu. Piwnica była kwadratowa i prawie pusta. Natknąłem się na dwie czy trzy skrzynie pełne bulw, twardych i jędrnych, i może to zresztą były owoce, nie wiem. Natrafiłem na beczkę i próbowałem ją poruszyć, ale okazała się pełna i ani drgnęła. Poza tym nie znalazłem w piwnicy niczego.

Panowała cisza, ale słyszałem kroki Maureen na górze, kilkakrotnie zbliżały się do drzwi piwnicy i zacichały, by po chwili odezwać się znów.

Wreszcie za którymś nawrotem, dziewczyna zatrzymała się na dłużej i prawie widziałem jej wahającą się rękę, sięgającą do zamka. Otworzyła po minucie czy dwóch wyczekiwania.

— Chleba czy wody? - szepnęła.

— No wiesz! - zawołałem ze sztuczną swobodą. - Przysługuje mi jedno i drugie. Takie są reguły.

— Chleba czy wody? - powtórzyła nie zmieniając intonacji.

— Wody - powiedziałem. - I niech cię diabli wezmą.

Coś miękko plasnęło tuż koło mnie.

— Masz koce.

Jeszcze przez chwilę nie odchodziła, a ja próbowałem odgadnąć, co dzieje się na górze. Z nią. Była śmiertelnie poważna i idealnie obojętna. Nie znała mnie, ale mnie uwięziła. Pomogłem jej, ale nie wzbudziłem zainteresowania.

— Wodę zaraz przyniosę - powiedziała wreszcie.

Starannie zamknęła drzwi i nie wracała z pół godziny. Nie wiem, co działo się z nią przez ten czas, ale coś musiało się dziać, bo kiedy wróciła, jej krok wydawał się pewniejszy. I nie zwlekała z otworzeniem drzwi.

Wiedziałem, że za godzinę, półtorej zacznie się świt, bo ciemność wokół mnie zaczynała gęstnieć, mroki spływały z całego domu, na razie powoli, by położyć się spać na czas gorącego i jaskrawego dnia.

— Wyjdź - rozkazała.

— Mówisz do mnie?

Zmieniła może zamiary, ale jej powaga i obojętność pozostały niezmienne.

— Wyjdź.

Wdrapałem się na górę i stanąłem obok niej. Emanowała ciepłem, ale było to tylko ciepło ciała.

— Przygotowałam ci łóżko.

— Dziękuję - skłoniłem się ironicznie, ale nie mogła tego zauważyć. W pełnym blasku dnia także by tego nie zauważyła. - Ale może mi wyjaśnisz...

— To nie ty - powiedziała. - Pomyliliśmy się.

I bez sekundy zwłoki, tym samym tonem dodała:

— Twój towarzysz zginął. Ale to też nie był on.

— Wiktor - szepnąłem, ale nie dała mi czasu na żal.

— Nie żyje - przytaknęła swobodnie. - Nie martw się. Ciebie wypuszczę i powiem, że uciekłeś. Na razie przygotowałam ci łóżko.

Nie protestowałem. Rozumiałem, że jeśli zrobię coś nie po jej myśli, lufa znów zajrzy mi w oczy.

Dokończenie na str. 7